Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 5.VII 19 68

Dziś w numerze: ● Jaka jest ta szkoła? ● Sposób na miasto ● Listy z „Einöde Ziers" ● Losy łodzian w kraju i na obczyźnie ● Wiersze młodych ● Grand Central Terminal ● Felietony ● Recenzje

odgłosy

27. (556)
7. VII. 1968 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Foto: Z. Wojewódzki

KONRAD FREJDLICH

ŁÓDZKIE DERBY

Celny strzał napastnika szczecińskiej Pogoni, Ptaszyńskiego, oddany na bramkę ŁKS w ostatniej kolejce rozgrywek ekstraklasy, zmazał Łódź z ligowej mapy kraju. Więc kiedy sędzia, pan Banasiuk, odgwizdał koniec meczu, siedzący na trybunie Paweł Kowalski nie ukrywał łez, a kibice, nie wytrzymując napięcia, jeszcze przed tym gwizdkiem wymykali się ze stadionu na ulice niosąc wszędzie niobową wieść.

Po prawdzie byli tacy, co jeszcze się łudzili: reprezentacyjna jedenastka Łodzi miała w swym dorobku trzypunktową przewagę nad Gwardią, o dwa punkty więcej niż krakowska Wisła i równą ilość punktów ze Stalą z Rzeszowa. Gdyby więc którejś z tych ostatnich drużyn nie powiodło się tej niedzieli, honor Łodzi, mimo porażki zostałby uratowany, przynajmniej na jeszcze jeden ligowy sezon. Stało się jednak inaczej: ci, bardziej niż ŁKS zagrożeni spadkiem, wygrali swoje mecze. Kibice dowiedzieli się o tym z radia, zawodnicy bezpośrednio po meczu, z telefonicznego podsłuchu. Wiele pracy miały tego dnia telefonistki w Łodzi, Bytomiu i Rzeszowie.

Chociaż nasza drużyna od lat wlokła się w ogonie tabeli, chociaż często rozgoryczeni kibice wieszali psy na zawodnikach i klubie, który ich wystawił do rozgrywek, spadek ŁKS do II ligi spowodował w mieście wstrząs, jaki trudno było nawet przewidzieć obserwując zmniejszającą się systematycznie frekwencję widzów na stadionie przy al. Unii. Był czas, że wały wokół bieżni groziły obsunięciem, ludzie walili na mecze przez bramy i płoty. Tak było w roku 1957, kiedy ŁKS zdobył Puchar Polski, tak było i w następnym, jubileuszowym sezonie. Na półwiecze swego istnienia łódzki klub zdobył mistrzostwo Polski. Był jeszcze jeden radosny moment w trzy lata później, kiedy juniorzy ŁKS powtórzyli sukces jubileuszowej reprezentacji zapisując na konto klubu tytuł mistrza Polski. Dobrze to zapowiadało przyszłość, tym bardziej że drużyna seniorów była w tym czasie już tylko cieniem własnej sławy, ale nie wykorzystano tej szansy. Najzdolniejsi juniorzy rozpełzli się po Polsce, macierzysty klub nie znalazł dla nich miejsca w reprezentacyjnej jedenastce. Drużyna seniorów zaś z roku na rok uzyskiwała coraz skromniejszy dorobek punktowy, choć jeszcze nic nie wskazywało na jej całkowitą degradację. Tylko kibice czuli się nieco zrażeni brakiem powodzenia ulubieńców. Na stadionie zaczęły straszyć puste miejsca. O kasie lepiej nie wspominać, a kasa to w piłce nożnej sprawa bardzo ważna.

Stagnację drużyny piłkarskiej ŁKS, której byt ligowy był jednak mocno ugruntowany, rekompensowali sobie kibice emocjami sportowymi poślednejszej może marki, ale w każdym razie emocjami. Wejdzie ten Start do II ligi, czy nie wejdzie? Wszedł. I też prawie nic się nie zmieniło.

Miało więc Łódź dwie reprezentacyjne drużyny, pierwszoligowy ŁKS i drugoligowy Start, ale widowiskowo zyskała na tym niewiele. Styl gry obu jedenastek często przyprawiał kibiców o gniew, obie wlokły się też zazwyczaj w ogonie ligowej tabeli. Dziwnym zrządzeniem losu inne widowiska piłkarskie godne jakiejś wzmianki, także omijały nasze miasto. Od lat już nie rozgrywano w Łodzi spotkań międzypaństwowych, chociaż kadra Polski kopała piłkę przed widzami Warszawy, Śląska czy nawet Szczecina. Nawet Wyścig Pokoju zaczął omijać nasze śp. miasto etapowe, chociaż ludzie chętnie wybraliby się na stadion, żeby popatrzeć na kolarzy, skoro piłkarzy nie można oglądać bez bólu. Ale o tym nikt nie pomyślał. Więc frekwencja na stadionie ŁKS malała. W roku 1958

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Bez przesady można stwierdzić, że dawno już żadne przemówienie ministra spraw zagranicznych nie miało tak szerokiego rezonansu, jak przemówienie Andrzeja Gromyki na sesji Rady Najwyższej ZSRR. Radziecki minister dokonał bowiem nie tylko starannego przeglądu obecnej sytuacji międzynarodowej i jej analizy, lecz także przedłożył nowe propozycje w kierunku dalszego powstrzymania nuklearnego niebezpieczeństwa. I ten właśnie fragment przemówienia komentowany jest najobszerniej. Przeważa zgodna opinia, że jest to ważny krok na drodze odprężenia międzynarodowego „przy równoczesnym utrzymaniu nieugiętej postawy w zakresie ideologiczno-politycznym".

Zanim jednak przejdziemy do tych propozycji — spróbójmy przedstawić najgłówniejsze myśli z przeglądu aktualnej sytuacji.

Obecna epoka łamie tradycyjne pojęcie o sile. Produkcja przemysłu wojennego USA wciąż wzrasta, ale polityczna waga Stanów Zjednoczonych ciągle maleje. Od kilku lat USA prowadzą zaciekłą wojnę przeciwko Wietnamowi (od 22 czerwca, kiedy to minęło 6 i pół roku, jak padł w Wietnamie pierwszy żołnierz amerykański, jest to najdłuższa wojna w historii Stanów Zjednoczonych). Na Wietnam zrzucono już więcej bomb niż w czasie II wojny światowej na Niemcy, a na południu tego kraju znajduje się półmilionowa armia interwentów. Mimo to Amerykanie nie mogą pochwalić się żadnym militarnym zwycięstwem. Ta sytuacja spowodowała, że po długim zwlekaniu USA zmuszone zostały do podjęcia rozmów z rządem DRW. Ostatnia decyzja dowództwa amerykańskiego o likwidacji bazy Khe Sanh, o którą na początku roku toczyły się zażarte boje i która przez 77 dni oblężona była przez partyzantów jest dobitną ilustracją amerykańskich niepowodzeń.

Również na Bliskim Wschodzie nie udało się agresorowi osiągnąć zamierzonych celów. Wytworzona tam jednak sytuacja, znamionująca się ciągłymi prowokacjami Izraela wobec krajów arabskich oraz odmową wykonania rezolucji Rady Bezpieczeństwa — zagraża pokojowi. Niedawno rząd ZRA wysunął propozycję opracowania skoordynowanego planu posunięć w kierunku uregulowania bliskowschodniego problemu. — Jest to — podkreślił min. Gromyko — ważna inicjatywa i rząd radziecki gotów jest współdziałać w realizacji takiego planu przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie.

W Europie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodów stanowią militarystyczne i neonazistowskie koła w NRF.

Uchwalone ostatnio przez parlament zachodnioniemiecki „nadzwyczajne ustawy" są kopią ustaw, jakie uchwalone były przez Niemcy hitlerowskie tuż przed II wojną światową. W NRF dochodzi do głosu tzw. „Partia Narodowo-Demokratyczna", która ma już swoich przedstawicieli w siedmiu z dziesięciu krajowych parlamentów.

Tych faktów nie mogą przyćmić uśmiechy polityków zachodnioniemieckich, które są elementem tzw. nowej polityki wschodniej. Cóż to jednak za nowa polityka zagraniczna, jeśli dotychczas rząd NRF nie zrezygnował z żądań przywrócenia granic z 1937 roku? Ani też nie zaniechał prób aneksji Berlina zachodniego, który nigdy nie należał i nie będzie należeć do NRF?

Jeśli politycy bońscy mieliby szczere zamiary uregulowania sytuacji z krajami Europy Wschodniej — musieliby to przede wszystkim potwierdzić poszanowaniem porozumień międzynarodowych, które są nienaruszalną podstawą powojennego porządku w Europie. Dotyczy to akceptacji granic i uznania faktu istnienia NRD.

„Istota europejskiej polityki Związku Radzieckiego — stwierdził min. Gromyko — polega właśnie na gotowości reagowania na każdy konstruktywny krok, który umacnia gmach pokoju europejskiego oraz na udzielaniu odprawy wszelkim próbom podważenia sprawy pokoju i socjalizmu w Europie".

Polityka imperialistyczna wiąże swe rachuby z próbami wyrwania choćby jednego ogniwa ze wspólnoty socjalistycznej. Daremne to są próby. Kraje socjalistyczne podejmują kroki, które są niezbędne w celu umocnienia wspólnoty w dziedzinie politycznej, gospodarczej i obronnej. Temu służą okresowe posiedzenia Doradczego Komitetu Politycznego Układu Warszawskiego i dwustronne ścisłe kontakty.

W toku swojego wystąpienia min. Gromyko poddał analizie walkę o zażegnanie niebezpieczeństwa wojny nuklearnej, podkreślając, że mimo wielu początkowych wykrętów ze strony USA udało się w końcu doprowadzić do opracowania i uzgodnienia układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Układ ten zmniejsza prawdopodobieństwo wybuchu wojny jądrowej.

Doszliśmy więc do punktu, w którym można postawić tę broń poza prawem. ZSRR wzywa mocarstwa zachodnie, aby zajęły miejsca za stołem rokowań DLA ROZWAŻENIA KONWENCJI ZABRANIAJĄCEJ STOSOWANIA TEJ BRONI. Gotów jest także dokonać wymiany poglądów NA TEMAT WZAJEMNEGO OGRANICZENIA, A NASTĘPNIE ZREDUKOWANIA STRATEGICZNYCH ŚRODKÓW PRZENOSZENIA BRONI NUKLEARNEJ — OFENSYWNEJ I OBRONNEJ, W TEJ LICZBIE RÓWNIEŻ PRZECIWRAKIETOWEJ.

Te propozycje radzieckie, a zwłaszcza ograniczenia systemu antyrakiet, wywołały duże podniecenie wśród komentatorów zachodnich.

Powszechnie przypuszcza się, że radziecki plan może zapoczątkować serię rozmów rozbrojeniowych, których pierwszym etapem mogłyby być konsultacje radziecko-amerykańskie, a następnie dyskusje w komitecie rozbrojeniowym i debata na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ.

W. SŁAWSKI

P.S. Z ostatniej chwili przed drukiem: II tura wyborów do francuskiego Zgromadzenia Ogólnego w pełni potwierdziła zwycięstwo gaullistów. W nowym parlamencie będą oni dysponowali 94 mandatami więcej niż poprzednio. Tak więc rozporządzać będą większością nienotowaną w dziejach V Republiki, co grozi zmonopolizowaniem władzy. Sukces ten osiągnięty został na fali kampanii antykomunistycznej.

Najtragiczniejsze są takie właśnie odejścia — w pełni sił, w środku wypełnionego pracą dnia. Edward Tomczyk — ofiarny działacz partyjny i społeczny zmarł nagle, przy pracy, kiedy planował nowe zadania, związane z ogromem pracy politycznej jaka czekała Jego i cały aktyw partyjny.

Zmarł nagle, w czasie pracy której smak i trud znał od dziecka. Jako 15-letni chłopiec z robotniczej rodziny — rozpoczął jeszcze przed wojną pracę zawodową, potem okupant wywiózł go z tysiącami innych do niewolniczej pracy przy budowie okopów. Po wojnie podjął pracę w „Elektrosanie". Jest młody, pełen zapału, bliskie są mu ideały klasy robotniczej, nic więc dziwnego, że znajduje się w szeregach Związku Walki Młodych.

Potem pełni funkcję sekretarza organizacji partyjnej w „Elektrosanie", działa w ZWM i następnie w ZMP. Jako działacz ujawnia swe organizatorskie umiejętności, wierność ideałom klasy robotniczej i przywiązanie do partii.

Kolejno pełni funkcję sekretarza KD PZPR i przewodniczącego ZŁ ZMP. Zostaje dyrektorem Młodzieżowego Domu Kultury, a w roku 1956 sekretarzem ŁK FJN. Wkrótce przechodzi do pracy w KŁ PZPR najpierw jako zastępca kierownika Wydziału Propagandy, a potem jako kierownik tego wydziału. Tutaj też przy pracy zastaje go śmierć. Wychowany w robotniczej rodzinie całe swe życie poświęcił sprawie klasy robotniczej.

W dniu 26 czerwca br. zmarł śmiercią tragiczną, w wyniku wypadku samochodowego, aktor i reżyser Teatru im. Jaracza w Łodzi, Jerzy Walczak. Śmierć jest tym okrutniejsza, im przychodzi wcześniej. Jerzy Walczak miał lat 39 i znajdował się w pełni rozkwitu swego artystycznego talentu. Tym większy żal i tym większa strata dla łódzkiego i ogólnopolskiego środowiska aktorskiego.

Jerzy Walczak urodził się 26 lipca 1929 roku w Łodzi. Tu skończył Wyższą Szkołę Teatralną i tu ujawnił i rozwinął swój kunszt aktorski. Wśród wielu ról, które posiada w swoim, już na zawsze zamkniętym dorobku, pamiętamy go jako Stańczyka w „Weselu" Wyspiańskiego, jako Mickiewicza w „Balladach i romansach" Aleksandra Maliszewskiego, kreował główne postacie w „Don Carlosie" Schillera, w „Arturo UI" Brechta, w „Kordianie" Słowackiego, w „Bonapartem i Sułkowskim" Brandstaettera i innych.

Jerzy Walczak dał się również poznać jako utalentowany wokalista. Obdarzony dobrym słuchem i głosem występował jako śpiewak. Znamy go z licznych recitali oraz z cyklicznej audycji telewizyjnej „Piosenki stare, ale jare".

Od dwóch lat Walczak zajmował się reżyserią. Dodajmy: zajmował się reżyserią z powodzeniem. W swoim macierzystym teatrze wyreżyserował „Ostatnią stację" Remarque'a, „Czarownice z Salem" Millera i „Apel" Subotića. Widzimy więc, że był to artysta wszechstronnie utalentowany, który miał przed sobą wielką przyszłość artystyczną. Śmierć przecięła jego życie.

W kronikach życia teatralnego Jerzy Walczak zapisał się nie tylko jako znakomity aktor. Był dobrym i lubianym kolegą, dobrym mężem i ojcem. Cześć niech będzie Jego pamięci!

jk.

Nożycami przez PRASĘ

OBYWATEL — WŁADZA

„Prawo i Życie" ocenia realizację postulatów i wniosków przedwyborczych, wysuniętych w swoim czasie przez obywateli pod adresem rad narodowych w Warszawie.

Wśród wniosków były i takie, które a limine (z miejsca) należało odrzucać ze względu na niekompetencję radnych i rad, wniosków kolidujących na przykład z ustawą zasadniczą, czyli z konstytucją.

Poprzestańmy jednak na uwagach ogólnej natury, gdyż dotyczą nie tylko warszawiaków i ich rad narodowych.

Zbliża się koniec kadencji rad i dopiero wraz z jej upływem przystępuje się do oceny realizacji zgłoszonych przez społeczeństwo postulatów. Więc rozliczanie się z wniosków i inicjatyw ludności to nie codzienny obowiązek rady — a niejako świąteczny. Od kampanii do kampanii.

Czy można w tych warunkach mówić o więzi z wyborcami, o konfrontacjach? Druga sprawa. Postulaty, które wpłynęły w toku kadencji raczej nigdzie nie były ewidencjonowane ani też nie powzięto żadnych starań w celu zabezpieczenia ich realizacji.

Powstaja więc pytania: czy wyborca jest gospodarzem tylko w czasie kampanii, czy na co dzień?

Może należało zadbać by wyborcy byli licznie reprezentowani na sesji, gdzie omawiano sposób realizacji ich wniosków.

Bardzo istotną kwestią jest postulat traktowania na równi wniosków zgłoszonych w czasie kadencji rad z wnioskami zgłoszonymi w okresie kampanii wyborczej. Wnioski doraźne, składane na co dzień. Z tych władza się nie rozlicza, bo wpłynęły w tzw. „międzyczasie". W efekcie marnuje się inicjatywa obywatelska...

IBL

Te inicjały są dość znane: Instytut Badań Literackich. Jego działalność stała się od pewnego czasu przedmiotem dyskusji, a raczej ataków. Sprawa zaczyna się od tego, iż IBL dotąd nie wywiązał się z najważniejszego zadania: do dziś, a lata płyną, nie mamy nowego podręcznika uniwersyteckiego historii literatury polskiej. Gdybyśmy mieli Kleinera czy choćby Kazimierza Czachowskiego, to bez instytutu otrzymalibyśmy prawdopodobnie podręcznik, a tak? Skazani jesteśmy na instytutowość.

Tym razem zabrał głos Juliusz Nowak-Dłużewski w „Kulturze". Wystąpił z ostrym artykułem, wytyka IBL-owi wiele błędów. Jakież to błędy?

Nowak-Dłużewski zarzuca pracownikom Instytutu hermetyczny styl w pracach naukowych.

„Tu chodzi po prostu o przywrócenie godności naszej dawnej naukowej prozie humanistycznej, prozie Chmielowskich i Chrzanowskich, Szujskich i Bobrzyńskich, poniewieranej obecnie w publikacjach naukowych, które wychodzą pod egidą IBL...".

Drugie zło...

„wcale od niego nie mniejsze, tkwi w skrzywionej strukturze organizacyjnej dzisiejszego Instytutu Badań Literackich".

W sumie:

„W obu wypadkach dąży się świadomie a uparcie od lat szeregu do zatarcia, a przynajmniej do zredukowania w świadomości dzisiejszego społeczeństwa polskiego jego własnego, jemu tylko właściwego, indywidualnego, wielowiekowego postępowego spadku kulturalnego".

SULEJÓW

Niedawno Jerzy Waldorff zajął się w „Świecie" Sulejowem i słynnym na całą Polskę opactwem cystersów. Dodajmy od razu: zaniedbanym, wymagającym szybkiej pomocy renowacyjnej i w ogóle większej opieki. Judymowie bowiem, którzy tam działają, są osamotnieni.

Sulejów przypisał jednak autor województwu kieleckiemu. Uważni czytelnicy „Świata" natychmiast to sprostowali, przypominając, iż Sulejów leży w granicach naszego województwa. Ci czytelnicy również pytają ze zrozumiałym rozgoryczeniem: dlaczego przez całe lata Łódź nie zainteresowała się zabytkami Sulejowa, palącą sprawą ratowania klasztoru?

My też o to pytamy, dziwiąc się jednocześnie, że dopiero Warszawa zwraca nam uwagę na nasze karygodne zaniedbania.

MATURY

W „Polityce" Andrzej Chruszczyński zajął się maturami, snując refleksje na tle tegorocznego ich przebiegu. Obraz przedstawia się pono niewesoło. Zaczyna się od tego, że wszyscy byli przygotowani do tego, iż będzie się pisać o patriotyźmie i rewolucjonizmie polskiej poezji romantycznej.

Matura przestała być legitymacją poziomu, popisem wiedzy i umiejętności formułowania odpowiedzi ze względu na to, iż uczniowie najlepsi są z wielu obowiązków zwalniani. Zostali ci, co się raczej jąkali.

Chruszczyński postuluje świadectwa dojrzałości dwojakiego typu: świadectwo szkoły średniej i świadectwo dojrzałości.

Domaga się ponownego zróżnicowania, trojakiej matury: humanistycznej, matematyczno-fizycznej i przyrodniczej. Wszystkich jednak powinien obowiązywać pisemny i ustny egzamin z języka polskiego.

To ostatnie wydaje się czymś wyjątkowo słusznym: znikoma sprawność językowa rzutuje na pracę i stosunki w każdej dziedzinie.

Jeśli jednak chodzi o inne propozycje, pamiętajmy o jednym: nie eksperymentować pochopnie. Za bardzo jesteśmy rozkochani we wszelakich reformach i reorganizacjach. Ach, przeczytałoby się na ten temat jakąś szerszą rozprawę psychologiczno-socjologiczną!

NASZ KOMUNIKAT

Ponieważ w ostatnich czasach otrzymaliśmy kilka depesz i kilkadziesiąt listów, podających w wątpliwość społeczno-praktyczną przydatność rubryki „Nożycami przez prasę", postanowiliśmy ją, przynajmniej na czas wakacji, wzbogacić o kwestie rzeczywiście przydatne. W tym celu każdy przegląd prasy będziemy kończyć wyjątkami z cennego dziełka przedwojennego „Poradnik życia praktycznego". 1.200 recept, rad, wskazówek, pouczeń. Nakładem Cz. Gralikowskiego. Kraków. Niektóre wskazówki, mając na uwadze postęp w wielu dziedzinach, postaramy się nieco uwspółcześniać. Rozdziałek będzie miał tytuł: „Życie praktyczne". A więc!

BRYLANTY czyścimy i myjemy w kolońskiej wodzie.

HERBATA jest wydajniejsza, gdy ją zmielemy w młynku.

STALE zostać młodą można, pijąc sok czosnkowy (Mimo, iż utrudni to nieco bardziej poufałe kontakty z płcią przeciwną).

NA KRZESŁA kłaść materiały, wtedy spodnie nie świecą się.

KOTY przestraszamy wodą lub wystrzałem. (Inkasentów również).

(c.d.n.)

JAN OLECHNO

ŁÓDZKIE DERBY

Dalszy ciąg ze str. 1

przychodziło średnio 20 tys. widzów, w cztery lata później już tylko 7 tys. W roku 1967 ŁKS złapał drugi oddech, zajął piąte miejsce. Frekwencja na stadionie wzrosła do 11 tys. widzów, kibic zareagował szybko na zwyżkę formy swoich ulubieńców. Teraz okazało się, że był to oddech agonalny, przedśmiertny. W tym sezonie drużyna ŁKS grała niemal dla pustych trybun, dziurawiąc niebo.

Teraz nastąpił wstrząs. W klubie rozdzwoniły się telefony od zawiedzionych kibiców, którzy złorzeczą klną a nawet spazmują, redakcje gazet zasypywane są dziesiątkami listów. Ludzie reagują rozmaicie. Widzi się takich, co ze łzami w oczach i ściśniętymi gardłami jeszcze nie mogą uwierzyć w degradację klubu i piłkarską degradację miasta: proponują, aby zabiegać o rozszerzenie ligi, albo założyć protest u władz piłkarskich pod pierwszym lepszym pretekstem. Inni przeciwnie: pogodzili się już ze skutkami degradacji, chociaż ciągle jeszcze nie mogą się połapać, jak do tego doszło. Istna „niedziela cudów" powiadają, powołując się na sensacyjne wręcz rezultaty ostatniej ligowej kolejki. Gładkie zwycięstwo rzeszowskiej Stali nad wicemistrzem Polski, Legią i równie nieoczekiwane zwycięstwo najpoważniej zagrożonej spadkiem Wisły nad renomowanym zespołem Szombierek są najlepszą ilustracją tezy, jak krętym, drogami lubi sobie chadzać fortuna, która z drużyną ŁKS obeszła się tak nielaskawie.

Choć są to głosy rozżalonych, trzeba sobie powiedzieć, że aktualnie obowiązujący regulamin rozgrywek premiuje zrywy, rozpaczliwą ekwilibrystykę walczących o swe ligowe życie drużyn. Jego paragrafy stanowią: „O miejscu w tabeli decyduje ilość zdobytych punktów, w razie ich równej ilości decyduje korzystniejsza różnica bramek". Przyznajmy jednak, że owa „różnica bramek" to dosyć wątpliwy sprawdzian rzeczywistych kwalifikacji drużyn, skoro ten sam regulamin stanowi w paragrafie następnym: „W razie zdobycia równej ilości punktów przez dwie drużyny zajmujące dwa pierwsze miejsca w tabeli, wyznaczone zostanie między nimi decydujące spotkanie na neutralnym boisku". Ale co się odnosi do pierwszych, nie dotyczy ostatnich. Twórcy regulaminu uważali widocznie, że drużyny zagrożone spadkiem na podobne względy nie zasługują. Rezultatem tego jest chaos i nerwowa gra drużyn z dolnych rejonów tabeli, zwłaszcza pod koniec rundy, gdy do ostatniej chwili nic nie wiadomo, chociaż piłkarska giełda kipi od emocji. Tak było i w tym sezonie, ostatnia runda odsunęła w cień emocje międzypaństwowego spotkania Polska—Brazylia, a byli tacy, co w przerwie tego pasjonującego meczu potrafili z ogromną precyzją przepowiedzieć rezultaty zbliżających się rozstrzygnięć ligowych. Brano ich za szaleńców. Kto przy zdrowych zmysłach mógł liczyć się poważnie ze zwycięstwem Stali nad błyskotliwą Legią?

W lidze koszykówki, gdzie do niedawna zaobserwować można było podobne napięcie pod koniec rundy, przepowiadacze przyszłości stracili całą pewność siebie, odkąd wprowadzono do regulaminu dość istotną zasadę: przy równej ilości punktów o miejscu w tabeli decydują wyniki bezpośrednich spotkań między zainteresowanymi drużynami. A tak się jakoś dziwnie składa, że w pojedynkach prowadzonych przez drużyny najsłabsze, zwycięża na ogół ta, która gra lepiej. Gdyby więc zasady obowiązujące w koszykówce znalazły zastosowanie w regulaminie rozgrywek piłkarskich, degradacja dotknęłaby Wisłę, która mając równy z drużyną ŁKS dorobek punktowy, musiała w spotkaniu z tym klubem, uznać jego wyższość.

I tylko to moralne prawo ŁKS do dalszej egzystencji w ekstraklasie musi nam osłodzić całą gorycz klęski, skoro nic innego piłkarski świat Łodzi na razie zaproponować nam nie może. Pechowy sezon. Drugoligowy Start od lat dotknięty jest widmem degradacji i wielokrotnie przepowiadano mu już smutny koniec. Pabianicki Włókniarz, który z takim trudem zdobył prawo uczestnictwa w rozgrywkach II ligi, właśnie się z niej wysypał, w stylu rozpaczliwym, na ostatnim miejscu w tabeli. Jego łódzki imiennik, także trzecioligowy, narobił zamieszania w górnych partiach tabeli i stracił szansę na awans. Taki jest bilans tego najczarniejszego chyba sezonu w dziejach piłkarstwa łódzkiego. Cóż nam zostaje na pociechę? Chyba tylko drugoligowe derby Łodzi między drużyną ŁKS i Startem.

Pan Marconi, sekretarz sekcji piłkarskiej ŁKS zaciera ręce z uciechy: widzi już te cztery punkty, które jego klub weźmie sobie na Starcie. Ja bym te punkty chętnie oddał za jeden jedyny punkt w meczu z Pogonią, kiedy to remis zabezpieczał łódzkiej drużynie byt w I lidze.

Pan Rogala, sekretarz klubu, pociesza się, że jeśli ŁKS pójdzie w II lidze przebojem, zdobędzie mistrzostwo, stadion znowu zaroi się od ludzi, a wpływy kasowe przejdą najśmielsze oczekiwania. Ale ja znam drużyny, które zadomowiły się w II lidze na dobre. Taki los spotkał kiedyś zespół Górnika Radlin, Cracovię, Lecha Poznań, zaś Lechia Gdańsk dopiero w III lidze znalazła dla siebie trwałą przystań.

Trener Pegza, który przejął zespół ŁKS dopiero w tym roku z dziesięciopunktowym dorobkiem, przewiduje, że drugoligowa kwarantanna może potrwać dłużej niż rok. Stawia sprawę jasno: zespół stać na zryw przebój. Zdobycie mistrzostwa II ligi leży w zasięgu możliwości ŁKS. Stać więc drużynę w tej chwili, aby wejść do ekstraklasy, ale małe są szanse, aby się w niej utrzymała dłużej niż sezon, jeśli nie nastąpią jakieś radykalne zmiany. Tymczasem twarda walka o punkty uniemożliwi wszelkie eksperymentowanie, wypróbowanie posiłków, wychowanie zawodników rzeczywiście przywiązanych do barw klubowych. Trener Pegza zalecałby dłuższą kwarantannę swojej drużyny, chociaż będzie ona dla kibiców na pewno bolesna.

Działacz klubowy, dyrektor Szwarcbach, który w zarządzie ŁKS odpowiada za sekcję piłkarską, widzi wyjście z impasu poprzez odbudowę drużyny młodymi siłami. Zaznacza, że własne nie wystarczą, niezbędny jest import.

W ogóle wszystkim moim rozmówcom trudno przychodzi formułowanie wniosków, zapowiadają, że w tej sprawie specjalnie zbierze się zarząd, aby zaradzić złu, zmniejszyć rozmiary klęski i znaleźć wyjście z impasu.

Jestem także zdania, że zarząd powinien się zebrać, choć myślę, że takie posiedzenie mogło się odbyć z powodzeniem już parę lat temu, kiedy stało się zupełnie jasne, że piłka nożna nie jest najmocniejszym punktem łódzkiego sportu. Kryzys drużyny piłkarskiej ŁKS trwa nawet dłużej niż budowa trybuny na stadionie, gdzie roboty uległy dalszemu opóźnieniu i gdzie nie ma odpowiednich szatni dla zawodników, chociaż zainstalowano już maszty do sztucznego oświetlenia, luksus rzadko spotykany na boiskach II ligi.

W zamieszaniu wywołanym nieoczekiwanym mimo wszystko spadkiem ŁKS z ekstraklasy, bo drużyna potrafiła się zawsze jakoś uratować, choćby w ostatniej kolejce rozgrywek, zawodnicy reprezentacyjnej jedenastki zeszli w tych klubowych kalkulacjach chwilowo na plan dalszy. Co robią? To, jak się okazuje, raczej kłopotliwe pytanie. Mieli pojechać w czasie przerwy wakacyjnej za granicę, ale jeszcze przed kraksą, w Warszawie zapadła decyzja, że w rozgrywkach „Intertoto" weźmie udział opolska Odra. Patrzę do ligowej tabeli i oczom nie wierzę: gdyby ŁKS rozstrzygnął na swoją korzyść spotkanie z Pogonią, zrównałby się dorobkiem punktowym z drużyną opolan. Nikt jednak nie czekał na końcowy wynik ligowych zapasów, jedenastkę łódzką przekreślono z góry, w przedbiegach postawiono krzyżyk.

Więc zawodnicy spakowali manatki i porozjeżdżali się po Polsce, aby w samotności, z daleka od ludzkich spojrzeń i nieszczerych pocieszeń otrząsnąć się z przygnębienia. Mówi się o odmłodzeniu drużyny ŁKS, a przecież oni nie są starzy, są tylko zmęczeni, a to jednak różnica. Są zmęczeni, bo przez blisko półtora roku rozgrywano mecze tą samą jedenastką chłopców. Ośmiu rezerwowych zawodników, o których wspomniał pan Marconi, praktycznie nie wychodziło na stadion.

Teraz będzie się tę drużynę odmładzać, aby w łódzkich derbach ze Startem ŁKS mógł zdobyć cztery punkty. Będą to co prawda derby tylko drugoligowe, ale zawsze derby. Tylko że łódzkie derby rozgrywane są już od dawna, choć nie na stadionach, a w gabinetach prezesów. Świadczy o tym rozproszenie sił łódzkiego piłkarstwa i mizerne wyniki czołowych drużyn miasta.

Był czas, że działała w Łodzi szkółka piłkarska federacji „Włókniarz", którą jeszcze w roku 1954 kierowali panowie Baran, Lachowicz i Wiśniewski. ŁKS powrócił akurat do I ligi, kwarantanna trwała tylko rok. Z tej „szkółki" wyszli zawodnicy tej klasy co Suski, Sass, Stachura, Miłosz czy Fiodorow. „Szkółka" miała także drugi udany rzut, wychowali się w niej Kowarski, Dawidczyński, Orczykowski i Królikowski. Ale kiedy ŁKS zdobył mistrzostwo Polski „szkółkę" zlikwidowano. Młodsze roczniki przez pewien czas trenowały jeszcze pod wodzą p. Króla: wtedy juniorzy ŁKS powtórzyli sukces seniorów.

Teraz każdy klub ma ambicję posiadania własnej „szkółki", a jeszcze lepiej kilku, choć często trudno zgadnąć, co rzeczywiście kryje się pod tym dostojnym szyldem. Wszyscy bowiem stwierdzają zgodnie, że wiele się po ich wychowankach spodziewać nie można, brak podobno talentów.

Ale o wiele bardziej dokucza Łodzi brak współpracy pomiędzy klubami. Nie licząc się zupełnie z możliwościami, każdy klub ciągnie w swoją stronę, co potrafi. W ten sposób i tak mizerne siły łódzkiego piłkarstwa ulegają dalszemu rozproszeniu. Te derby przyniosły już wiadome rezultaty.

Teraz rozgrywać będziemy derby Łodzi publicznie, na Julianowie i na Karolewie. ŁKS i Start zmierzą się na serio, w twardej walce o punkty. Może pan Marconi znajdzie rzeczywiście powód do uciechy, cztery punkty i kasa. Ale ja zostanę przy swoim. Ja bym te punkty chętnie oddał za jeden jedyny w meczu z Pogonią, kiedy to remis zabezpieczał mojej drużynie byt w I lidze. Drużynie, która dla kibiców w całej Polsce, jest symbolem Łodzi.

KONRAD FREJDLICH

P.S. Z uwagą wysłuchamy opinii kibiców ŁKS, którzy tak się zawiedli na swojej drużynie. Odbudowa ekstraklasy piłkarskiej w Łodzi jest bowiem sprawą niezwykłej wagi dla każdego, kto choćby trochę interesuje się sportem. Dlatego też czekamy na listy w tej sprawie, najciekawsze postaramy się wydrukować.

K. F.

KONRAD JAŹDŻEWSKI

LOSY ŁODZIAN w KRAJU i na OBCZYŹNIE

ROMAN HIPOLIT WOJCIECHOWSKI (ROBOTNIK — FRYZJER — FELCZER — PRZEDSIĘBIORCA — WŁAŚCICIEL ZIEMSKI — TWÓRCA WŁASNEGO INSTYTUTU)

Na stanowisku dyrektora Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi ma się sposobność zetknąć nie tylko z egzotycznymi i niezwykłymi wytworami wygasłych lub wygasających kultur, ale niekiedy także z wysoce oryginalnymi ludźmi. Przed niejakim czasem zrobiono mi ofertę zdeponowania w Muzeum wielotomowego dzieła obecnie 85-letniego łodzianina, żyjącego od 60 lat w Ameryce, a gotowego z sentymentu do swego rodzinnego miasta do przekazania jakiejś poważniejszej dotacji na potrzeby tej instytucji. Ofertę tę przyjąłem, dzieło to (powielony maszynopis w języku angielskim) znajduje się na półkach naszej biblioteki, a z lektury jego obszernej biograficznej części wstępnej wyłoniła się wcale ciekawa postać jego autora, Romana Hipolita Wojciechowskiego. Z konieczności szczupłe ramy tego artykułu pozwalają mi tylko na wyrywkowe przedstawienie niektórych fragmentów tego niełatwego i niebanalnego żywota. O rodzicach p. Romana Hipolita Wojciechowskiego (ur. 24 lipca 1883 r.) dowiadujemy się bardzo niewiele: wywodzili się z jakiejś zubożałej rodziny szlacheckiej (herbu „Jelita"!), siedzącej ongiś (co najmniej od XVII w.) w Wolborzu i w jego okolicy, sami zaś żyli w jakichś bardzo nędznych warunkach, w starej dzielnicy Łodzi, zwanej „Praga" (okolice dzisiejszych ulic: Składowej, Narutowicza i Tramwajowej). Z kolei następuje przeprowadzka rodziny Wojciechowskich na Bałuty i tu w r. 1889 Roman Hipolit Wojciechowski zaczyna, jako niespełna 6-letnie (!) dziecko, swą pracę zarobkową, trwającą nieprzerwanie do późnej starości. Oto jakiś niemiecki tkacz angażuje go za 1 rubla tygodniowo do wkładania drewnianych wieszaków do pluszowych ubrań. Nie dowiadujemy się, jak się nauczył czytać — w każdym razie do szkoły nie chodził, ale już wtedy zaczął czytać jako swą pierwszą książkę „Stara Baśń" Kraszewskiego. Czytał ją 3 razy pod rząd i odtąd książki pozostały jego największym zamiłowaniem. Dalsze etapy jego kariery: jako 7-latek pracuje w zakładzie drukarskim i litograficznym (1890), a jako 8-latek w jakiejś żydowskiej fabryce sznurów wełnianych za 1 1/2 rubla tygodniowo, przy 10-godzinnym dniu pracy. Tu dają mu przy pierwszej wypłacie fałszywą półrublówkę. Jego reklamacja w fabrycznym kantorze daje w efekcie pobicie go, interwencję policji i ostateczne wyrzucenie z pracy. Z kolei znajduje pracę w niciarni bawełnianej Poznańskiego, gdzie zaprzyjaźnia się ze starszymi robotnikami i mimo dziecięcego wieku, ma do czynienia z działem ochrony pracy. W pewnej niemieckiej wykończalni materiałów wełnianych i flanelowych znajduje z kolei lepsze warunki pracy, dające mu możność utrzymania się i sprawienia sobie czystego ubrania. Oryginalna scenka rodzajowa: do fabryki nadeszła nowa maszyna — 11-letni mniej więcej Roman zapragnął gorąco na niej popracować, ale do właściciela fabryki nie ma jakoś dostępu, by go prosić o pozwolenie. Niewiele myśląc, włazi przez parterowe okno do mieszkania tego fabrykanta i uzyskuje od zdumionego, przestraszonego i w końcu rozbawionego Niemca zgodę na obsługę tej nowej maszyny, ale po ucałowaniu pracodawcy w rękę, musi drogę powrotną odbyć także przez okno. Mimo polepszenia się warunków pracy nasz młodociany robotnik pragnie wydobyć się z okowów ciężkiej pracy w fabryce. Wyzwolenia szuka w zawodzie fryzjerskim i felczerskim. Po różnych dalszych perypetiach, trafia, już jako 17-letni młodzieniec, do mistrza Brzoskwińskiego. Tu ewenement, który zadecydował o jego dalszym rozwoju, i który stał się podstawą jego edukacji: w jakimś tajemniczym, zapomnianym kufrze znajduje Wojciechowski dzieła Mickiewicza, Kraszewskiego i Wyspiańskiego, 6-tomowy Słownik Języka Polskiego B. S. Lindego, książki treści filozoficznej i dzieje narodów europejskich. Ten, przez szkołę i dom rodzicielski, do poważnej lektury całkowicie nieprzygotowany samouk — czeladnik fryzjerski, rzuca się na te skarby i przyswaja sobie ich treści, tak, jak umie. Rzecz ciekawa, że szczególnie silne wrażenie wywarł na Romanie Hipolicie Wojciechowskim, słownik Lindego. Nie mniej oczarowały go Mickiewiczowskie „Dziady" i na nowo czytana „Stara Baśń" Kraszewskiego. Przy letniej lekturze na ławeczce, zawiera znajomość z 2 lata młodszą Anną Gustówną, swą przyszłą żoną, Niemką z pochodzenia, która (także, tak jak on, pozbawiona oficjalnej edukacji z braku szkoły niemieckiej w tej dzielnicy Łodzi), chłonęła chciwie wszelkie pouczenia od fryzjera-samouka. Dość niezwykłe były rezultaty tej bardzo rozmaitej lektury. Obok zainteresowań dla historii Anglii, Irlandii, Francji i północnej Europy, dla zaginionych cywilizacji Azji, oraz nienawiści do wszelkich form tyranii politycznej i ekonomicznej, notujemy u tego młodego adepta kunsztu fryzjerskiego z Bałut, szczególne uwielbienie dla najdawniejszej przeszłości słowiańskiej, a to wiedzie go z kolei do doszukiwania się prażródła tych, zamierzchłych dziejów i kultur w znakach, symbolach, piśmie obrazkowym, hieroglifach, kabalistyce itp., aż w końcu utonął kompletnie w dociekaniach i koncepcjach zgoła mistycznych. Pobranie się katolickiego Romana z protestancką Anną, zostało niemalże uniemożliwione przez sfanatyzowane matki młodych, ale dzięki interwencji mądrego i życzliwego księdza katolickiego, współdziałającego z pastorem ewangelickim, znalazło się oryginalne salomonowe rozwiązanie dylematu: jeśli pierwszym dzieckiem z zawartego małżeństwa byłaby dziewczynka, wszystkie dzieci miały być ochrzczone jako ewangelickie, jeśli zaś byłby to chłopiec, całość progenitury miała być katolicka.

Doskonaląc się dalej w swym fachu (już posiadał kunszt robienia warkoczy, peruk i fryzur teatralnych!), trafia do salonu fryzjerskiego p. Czajkowskiego przy ówczesnej ulicy Długiej (dzisiejszej Gdańskiej), w dzielnicy zamieszkałej przez bankierów, prawników i nauczycieli. Było wtedy (w początkach XX w.) w zwyczaju, że młody golibroda odwiedzał bogatszą klientelę zakładu w domach prywatnych, gdzie dopełniał (szczególnie w rannych godzinach) swych powinności fryzjerskich.

Zbliżają się pamiętne wydarzenia rewolucyjne 1905 r. Młody czeladnik fryzjerski ma, z racji uprawianego przez siebie zawodu, doskonałą sposobność do zetknięcia się z najrozmaitszymi przedstawicielami ówczesnego społeczeństwa łódzkiego. Młody Roman, odznaczający się nadzwyczajną zręcznością w wykonywanym rzemiośle i gorąco pragnący nauczyć się jak najwięcej od swych wykształconych klientów, zajmujących najczęściej poważne stanowiska, sam ich z kolei intryguje swoim oczytaniem, niezwykłymi koncepcjami i zaskakującymi osadami.

Z tego fryzjerskiego obserwatorium patrzymy na rozwój wypadków w Łodzi. Pojawiają się pierwsze plotki o mających nastąpić jakichś bliżej nieokreślonych działaniach rewolucyjnych. Szczególnie rosyjski dygnitarz Durow rad by się czegoś dowiedzieć o nastrojach w mieście. Seria licznych pożarów fabryk, pozbawiających robotników pracy, a umożliwiających fabrykantom zagarnięcie premii ubezpieczeniowych, zaczyna się w połowie stycznia 1905 r. spaleniem niciarni Barucha. Słyszymy o strajkach dla poprawy płac. Wypadek zrządził, że nasz mistrz brzytwy miał sposobność obronić dyrektora fabryki Ostländera przed groźnym dla niego wybuchem gniewu załogi robotniczej. Mało tego: — z dumą powiada o sobie, że dzięki swej przemowie do robotników, udało mu się skłonić ich do ponownego podjęcia pracy. Z kolei dowiadujemy się, że u księdza (chyba Bokalskiego) o orientacji liberalno-socjalistycznej, odbywały się jakieś zebrania tajnej organizacji bojowej. Wieści o pierwszych aresztowaniach.

Nasz golibroda, wędrujący pół dnia od klienta do klienta, a pół dnia spędzający czas w „salonie" Czajkowskiego, słyszy kolejno o jakimś agitatorze przybyłym z Niemiec i działającym wśród robotników przedsiębiorstw niemieckich, notuje wybuch pierwszej bomby na ówczesnej „Promenadzie" (dzisiejszej alei Kościuszki), dowiaduje się od reprezentanta zwierzchności rosyjskiej, Durowa, że wnet wejdą do akcji kozacy dla stłumienia rozruchów, wspomina o pierwszym strzale do stójkowego na rogu ulicy, o atakach robotników na biura tych właścicieli fabryk, których pomawiano o rozmyślne podpalenie swych zakładów, o strzelaninie z okazji rozpędzania przez Rosjan zgromadzeń robotniczych, o rosnącym wrzeniu wśród robotników, tajnych transportach broni i amunicji, przybywających z Niemiec na użytek organizacji bojowych itd. Młodego Romana dochodzą głuche wieści o pojawieniu się jakichś działaczy rewolucyjnych przybyłych z Litwy, mowa dalej o aresztowaniu niektórych z nich i o ucieczce drugich, ostrzeliwujących się tajniakom, padają pytania, czy to prawda, że złapano jakiegoś przywódcę rewolucjonistów nazwiskiem Trocki? Mnoży się ilość konfidentów policyjnych (jeden taki ujawnia się Wojciechowskiemu jako jego krewny!), rośnie wzajemna podejrzliwość i nieufność wśród klienteli „salonu" mistrza Czajkowskiego. Równolegle z tym toczą się dyskursy między Wojciechowskim a Durowem, podczas prywatnych seansów balwierskich, na temat nihilizmu i jego teoretyka Iwana Siergiejewicza Turgieniewa, autora powieści „Ojcowie i dzieci" z r. 1862, o Zoli i o trzech kierunkach nihilizmu; dyskusja przeskakuje potem na Mickiewicza; mowa o tym, że „miliony muszą zginąć, by miliony mogły odrodzić się wolnymi". Z żoną, w domu, rozprawia Roman Hipolit na temat Aleksandra Wielkiego, Arcykapłana żydowskiego, Sanhedrynu i „Żyda — Wiecznego Tułacza", z p. Wakselfiszem zaś dyskutuje na temat archeologii i antykwarianizmu. I znów dramatyczne wypadki, toczące się na ulicach, placach i dziedzińcach fabrycznych Łodzi w ciągu tego pamiętnego roku, znajdują swoje echo wśród klientów salonu fryzjerskiego mistrza Czajkowskiego i jeszcze w 60 lat później na kartach zapisków Romana Wojciechowskiego: pierwsze zabójstwo żołnierza i dwóch urzędników rosyjskich, poranienie kilku robotników, walki robotników z kozakami i policją, uzbrajanie się bojowców w „mauzery", sprowadzane potajemnie z Niemiec itp.

Roman Hipolit Wojciechowski staje się w r. 1906 właścicielem zakładu fryzjerskiego na ul. Konstantynowskiej, w r. 1908 otrzymuje dyplom mistrzowski, zdobywa bardziej reprezentacyjny zakład i staje się z biegiem lat ojcem kilkorga dzieci. Z namowy księdza proboszcza Bokalskiego i doktora Głogera aktywizuje się w dziedzinie pracy społecznej, obejmując stanowisko wiceprzewodniczącego w łódzkim oddziale „Towarzystwa Opieki nad Dziećmi".

Następuje wreszcie decyzja: mistrz fryzjerski R. H. Wojciechowski emigruje wraz z żoną, synkiem i córeczką (jednego synka przedtem stracił) w maju 1909 r. do Stanów Zjednoczonych Ameryki via Kraków — Triest — Palermo — Algier do Nowego Jorku, jako pasażer III klasy z siedmioma dolarami w kieszeni. Na statku dorobił się dalszych dwudziestu dolarów goleniem. Osiadłszy w Brooklynie i zawzięcie pracując, najprzód w obcych zakładach, pnie się dość szybko po szczeblach „kariery fryzjerskiej". Przy pomocy słownika i gazety „Brooklyn Daily Eagle" udało mu się w ciągu dwóch miesięcy opanować niezbędne minimum angielszczyzny. W kilka lat później staje się znów właścicielem własnego „salonu" fryzjerskiego, wnet powiększa go o „Damski Salon Piękności" („Ladies Beauty Shop"), pierwszy w Brooklynie, a niebawem przystępuje do produkcji własnych kosmetyków. Rzecz ciekawa: II wojna światowa nie znalazła w ogóle odbicia w dziele naszego emigranta. Natomiast wprowadzenie prohibicji alkoholowej w USA było wydarzeniem, które dało mu się solidnie we znaki pod względem ekonomicznym: oto kosmetyki jego miały jako główny składnik alkohol i wobec tego wyłoniły się poważne trudności z ich produkcją. II wojna światowa trudności te tak pomnożyła, że p. R. H. Wojciechowski musiał się przerzucić na fabrykację domków dla ptaków.

W 70 roku życia pan Roman otrzymawszy dostatnią rentę z Ubezpieczenia Społecznego przekazał na zasadzie umowy, swoją posiadłość instytucji pod nazwą „Garden State Parkway", a sam oddał się całkowicie swojemu ulubionemu studiowaniu znaków, symboli, pisma obrazkowego itp., tworząc w tym celu osobny instytut w kilku parterowych pawilonach pod nazwą „The Roman H. Wojciechowski — Institute — An Art Center for Antiquity of Symbolic Evolution and the Origin of Picture Writing and Hieroglyphics on the Road to Today's Pure Alphabets" przy ulicy „Roman Road". Dla zaokrąglenia tej barwnej sylwetki warto dodać, że p. R. H. Wojciechowski (herbu JELITA!) z jednej strony zaprzyjaźnił się serdecznie z ks. dr Thomasem E. Melloyem, biskupem katolickim irlandzkiego pochodzenia, z drugiej zaś stał się członkiem kilku lóż masońskich, takich np. jak „The Cosmopolition Lodge No 585", „The Royal Arch, Masons Orient Chapter No 138", „Knight Templar's Damascus Commandery No 58" oraz „The Ancient Accepted Scottish Rite of Free — Masonry in the Valley of Brooklyn". To dość oryginalne połączenie uwidacznia się także w dedykacji jego dzieła.

Niżej podpisany otrzymał zaproszenie, by odwiedzić tego niecodziennego łodzianina w jego instytucie w Waretown, przy czym zapraszający pragnie pokryć mu koszty podróży w jedną stronę.

JERZY WILMAŃSKI

Jaka jest ta szkoła?

Jeśli znajdzie się ktoś pragnący skompletować wszystkie na przestrzeni lat publikacje prasowe łódzkiej Szkole Filmowej proponuję mu „klucz trzech nurtów".

Nurt pierwszy: legendarne schody, na których siadywali Wajda i Polański, egzotyka, poszukiwania twórcze...

Nurt drugi: opinia „najlepszej w świecie", studenci zagraniczni, samochody, elita...

Nurt trzeci: Niedobra atmosfera, kult cwaniactwa, pogarda dla tłumu...

W każdej z tych dziennikarskich konwencji tkwi jądro prawdy, każda w jakiś sposób przystaje do zmieniającej się z upływem lat sytuacji Szkoły. To prawda, że owe konwencje tworzą dziennikarze, ale materiałem jest przecież realna rzeczywistość.

Wiele gorzkich uwag pod adresem Szkoły padło w ostatnich miesiącach — wiele gorzkich i słusznych słów krytyki. Ale przecież nie one tylko sprawiły, że istnieje bardzo silne społeczne odczucie i przekonanie, iż łódzka Szkoła jest szkołą elitarną. Nie... źle powiedziane... Łódzka Szkoła Filmowa jest szkołą d l a e l i t y.

Powtarzam — takie jest społeczne odczucie. Na ile słuszne? Nawet po kilkakrotnych wizytach w rektoracie PWSFiT, po zapoznaniu się z szeregiem dokumentów nie odważę się na formułowanie wniosków kategorycznych. Uderzyło mnie wszakże jedno. Mam przed sobą listę absolwentów Szkoły z lat 1952—1957. Rubryka: miejsce zamieszkania. Toż to istna geografia Polski! Jest Białystok i Katowice, Wrocław i Łódź, jakieś zupełnie małe miasteczka, także — oczywiście — Warszawa.

Spoglądam na aktualne listy studentów wydziałów operatorskiego i reżyserii. Na 47 przyszłych operatorów 13 mieszka w Warszawie, na 45 przyszłych reżyserów z Warszawy pochodzi — aż 28. W sumie na 92 studentów wydziałów filmowych (nie licząc aktorskiego) prawie połowa przybyła ze stolicy. Pozostała połowa miejsc — dla reszty Polski.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie jest to naiwny i dziecinny „warszawowstręt" — próbuję dociec źródeł opinii mówiącej o „szkole dla elity". Przy tak zachwianych — bo sięgających 50 proc. studentów — proporcjach, musi narzucać się przekonanie o jakimś szczególnym preferowaniu młodzieży „ze stołecznych pięter". A jeśli już o tych piętrach mowa to przecież nikt rozsądny nie uwierzy, że bardziej preferowany jest syn księgowego z warszawskiej spółdzielni pracy niż syn księgowego ze spółdzielni — powiedzmy — w Olechu.

Nikt w to nie uwierzy — i słusznie — bowiem chodzi tu nie o dzieci drobnych urzędników. Nazwisk znanych z gazet jest na listach obu wydziałów sporo i to w jakimś stopniu tłumaczy opinię o elicie. Nie wymieniam tych nazwisk bo po co? Z tych młodych ludzi być może wyrosną świetni filmowcy, ale fakt że jest ich dużo musi skłaniać do refleksji. Czyżby talenty i uzdolnienia objawiały się t y l k o w rodzinach ministrów, dyrektorów administrujących sztuką, architektów kompozytorów?

Na 45 słuchaczy wszystkich lat wydziału reżyserii tylko t r z e c h studentów pochodzi ze środowisk robotniczych i a n i j e d e n ze środowiska chłopskiego. Nieco lepiej jest na wydziale operatorskim, gdzie na 47 słuchaczy jest 8 studentów z rodzin robotniczych i j e d e n z rodziny chłopskiej.

Żeby jednak nie było niedomówień powiedzmy jasno, że aktualnie w PWSFiT studiuje tylko dwu synów wiceministrów (zresztą byłych wiceministrów). Podkreślam to po to, aby sformułowanie „szkoła dla elity" rozumiane było właściwie i bez dwuznaczników.

Reasumujmy więc: społeczne odczucie hermetyczności i elitarności Szkoły nie pozbawione jest racji. Tak to niestety w ostatnich latach bywało i możemy się tylko cieszyć, że najbliższe lata przyniosą tu radykalne zmiany. Pierwszym krokiem w kierunku tych zmian jest m. in. planowany na sierpień obóz dla uzdolnionej artystycznie młodzieży z małych ośrodków, jaki organizuje się z inicjatywy redakcji „Walki Młodych".

Wróćmy jednak do Szkoły takiej jaką jest po prasowych gradobiciach. Wyczuwa się tu jakiś ton żalu — może i słusznego żalu. Cóż robić — życie jest daleko bardziej skomplikowane niż można to zamknąć i określić w impulsywnym felietonie. Generalny zarzut jaki opinia publiczna postawiła Szkole — zarzut braku zaangażowania, bezideowości nawet, kultu cwaniactwa, atmosferki kosmopolityzmu — jest z pewnością słuszny.

Nie zawsze jednak zarzut ów mógł się sprawdzić w konkretnych, personalnych przykładach. Czy argumentem „na nie" może być syn kierownika zespołu filmowego studiujący w PWSF? Jeśli ma talent?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPOSÓB NA MIASTO

I.

Przeszłość decyduje o dniu dzisiejszym, narzuca określone rygory zamierzeniom, czasem hamuje rozmach, ostudza zapał. O przeszłości nie można zapomnieć na wąskich skrzyżowaniach, gdzie trzeba burzyć domy, wybijać podcienia, aby tym sposobem dać swobodę ludziom i pojazdom. O przeszłości nie da się zapomnieć w halach fabrycznych, dachy których w upalne dni strażacy polewają wodą, aby ludziom dać choć złudzenie chłodu. O przeszłości nie trzeba zapominać, bo staje się ona bodźcem dla dokonywania zmian. Przyczynia się do usuwania tego, co złe, nieludzkie, co zostało w spuściźnie po czasach dawnych — czasach żywiołowego rozwoju, którego motorem był pieniądz i wyzysk.

2.

Przyjedźcie, proszę — mówią niektórzy — do Łodzi za lat siedem. Będzie już inna. Miasto objechać będzie można koleją obwodową. Po zakupy wybrać się do nowego centrum. Na Chojnach stanie nowoczesny dworzec. Godny obsługi linii międzynarodowej. Wyrosną dalsze dzielnice mieszkaniowe na Widzewie i Retkini, a przemysł przeniesie się do Smulska, na Żabieniec, Ustronną i Dąbrowę. Z lotniska na Lublinku będą startować samoloty na trasy krajowe i zagraniczne.

Wizja przyszłości z wieżowcami w okolicy ul. Głównej i linią średnicową, rewolucjonizującą tradycyjny układ komunikacyjny Łodzi, nie jest tylko marzeniem. Nabiera realnego kształtu w biurach projektowych.

Pierwsze „wcielenia" można już obserwować na Teofilowie czy Dąbrowie, a chociażby nawet w śródmieściu, gdzie pojawiły się wieżowce — Dom Technika, Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego, siedziba dyrekcji przedsiębiorstw budowlanych na rogu ul. Sienkiewicza i Roosevelta czy rosnący wieżowiec Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego na rogu ul. A. Mickiewicza i Piotrkowskiej — i gdzie parterowe domki ul. Głównej stały się zabytkami uwiecznionymi na kliszach przezornych fotoreporterów i fotografików.

3.

Nowa Łódź, miasto 850-tysięczne to nie tylko nowe dzielnice mieszkaniowe, wieżowce i szybka komunikacja. Nowa Łódź — to również nowy, nowoczesny i prawidłowo zlokalizowany przemysł. Wszystko zaczyna się od wody. Kanał Sulejów — Łódź zapewni miastu dostatek wody do 2000 roku. Da wodę dla ludzi i przemysłu. Nie można nią jednak zbytnio szafować i dlatego w planach rozwoju przemysłu w mieście przyjmuje się kierunki działania, które zmierzają do rozbudowy zakładów nie wymagających tyle wody co włókiennictwo. Przyszłość więc przed przemysłami: metalowym, elektrotechnicznym, odzieżowym. Włókiennictwo w tej sytuacji musi wprowadzać te kierunki w wykończalnictwie, które opierając się na chemii, też nie wymagają tak wielkiej ilości wody.

Modernizacja łódzkiego przemysłu lekkiego, jego rekonstrukcja, związana jest jeszcze z czymś, co ekonomiści i działacze gospodarczy nazywają „inwestycjami odtworzeniowymi". Jest to wielka akcja porządkowania zabudowy miasta, akcja przenoszenia z jego środka fabryk, które potrzebne i pożyteczne, nie powinny nigdy znajdować się wśród osiedli. W ten sposób zmieni swoje miejsce „Gumówka", dzięki temu „Strzelczyk" będzie mógł otworzyć drogę alejom Kościuszki, a kilka fabryk porozrzucanych po całym mieście, znajdzie dla siebie nowe, dobrze wyposażone budynki na jego skraju. Dla przemysłu i magazynów wyznaczono tereny na Teofilowie i Żabieńcu, Dąbrowie, Smulsku — Srebrnej, Ustronnej i Nowych Sadach. Od mieszkań oddzielą je pasy zieleni.

4.

Przyjechać i popatrzeć na miasto za siedem lat, ocenić ogrom zmian — to bardzo łatwo. Trudniej w zmianach uczestniczyć, pokonywać opory, przezwyciężać trudności. „Skazani" na to są i ci, którzy decyzje podejmują i ci, którzy je wykonują — łodzianie.

Decyzje — ważne i najważniejsze — podejmuje się centralnie. Pieniądze na wielkie inwestycje idą ze skarbu państwa. Nic więc dziwnego, że w myśl starego porzekadła — kilka razy trzeba przymierzyć, aby raz dobrze odciąć. I nic też dziwnego, że „tak krawiec kraje, jak mu materiału staje". Decyzje jednak dotyczą żywego organizmu — miasta i często wywołują różne konflikty.

Celem działalności k o o r d y n a c y j n e j Rady Narodowej m. Łodzi jest umiejętne łączenie interesów gospodarki narodowej z interesami miasta. Cel ten trzeba tak realizować, aby przy najniższych wydatkach osiągać maksimum zamierzeń. Teoretycznie wszystko jest proste i łatwe. Istnieją odpowiednie ustawy z 1950 i 1958 roku, które dają prawną podstawę dla k o o r d y n a c y j n e j działalności rad narodowych. Ustawa to jednak nie wszystko.

5.

Chodząc każdego dnia ulicami miasta patrząc na nowe dzielnice, nie widzi się tak dokładnie ani tempa, ani rozmiarów zachodzących zmian. Widzi się natomiast wiele niedociągnięć, braków, nieumiejętności, widzi się potrzeby — od tych najmniejszych do największych. Rodzi się troska o podwórko, o ulicę, blok, osiedle, dzielnicę i o miasto wreszcie. Rodzi się troska, która przybiera kształt konkretnego postulatu, wniosku, krytycznej uwagi. W okresie trwania nowej kadencji rad narodowych i Sejmu PRL łodzianie zgłosili na spotkaniach z radnymi i posłami 1.476 postulatów. Uzupełniły one liczbę 2.039 postulatów, jakie zgłoszono w czasie trwania kampanii wyborczej. Z tych postulatów 1.416 RN m. Łodzi przyjęła do wykonania i do końca ub. roku wykonała przeszło 70 proc. Pozostałe — poza 593, które są ekonomicznie nierealne — zrealizuje się w latach 1968—70.

Troska o kształt miasta wyrażana w formie postulatów dotyczących rzeczy pozornie drobnych — naprawy ulicy, zmiany jej nawierzchni, remontu domu, poprawy oświetlenia. Nie ogranicza się tylko do żądania — dajcie, zróbcie! Towarzyszy jej praca — czyn dokumentuje słowa.

W ciągu ostatnich dwóch lat, obywatele Łodzi wykonali dla miasta prace o wartości 82,5 miliona zł. Każdego roku w pracach społecznych uczestniczy około 250 tys. osób — poświęcając ze swego wypoczynku około 2 mln godzin. Sadzą drzewa, urządzają place zabaw dla dzieci, budują boiska i zakładają zieleńce. Te drobne prace zawierają w sobie ogromny sens społeczny i polityczny — uczą gospodarności, wyrabiają poczucie współodpowiedzialności.

6.

K o o r d y n a c j a p o z i o m a — słowo kiedyś bardzo modne. Dziś jest treścią powszechnego działania. K o o r d y n a c j a p o z i o m a — to właśnie umiejętność łączenia interesów ogólnych z lokalnymi — łączenia z korzyścią dla całości i szczegółu. I ta działalność rady narodowej napotyka spore trudności.

Dla nikogo nie jest tajemnicą zjawisko partykularyzmu przemysłów. Przyczyn tego stanu rzeczy można szukać w systemie rozdziału funduszów, w metodach finansowania. Stąd trudno dziwić się, że np. trzy **j e d n o r o d n e** przedsiębiorstwa — **Zakłady Transportu Przemysłu Mięsnego, Przedsiębiorstwo Samochodowe Łączności i Łódzkie Przedsiębiorstwo Transportowe Budownictwa** wzdragają się przed budową wspólnej bazy transportowej na Nowych Sadach. Nie przemawia do nich fakt, że dzięki roli koordynacyjnej WP PKS, który wykorzystał wolne samochody różnych przedsiębiorstw — tylko w 1966 roku udało się przewieźć dodatkowo 270 tys. ton ładunku, z tego w Łodzi — 40 tys. ton.

Trudno dziwić się trzem **j e d n o r o d n y m ale z różnych resortów wywodzącym** się przedsiębiorstwom, że widzą t y l k o własny interes, dbają t y l k o o prawidłowość własnych rozliczeń, nie chcą narazić się na kłopoty z sąsiadami i buchalterami. Cóż jednak powiedzieć o trzech przedsiębiorstwach — **t e g o s a m e g o zjednoczenia — Zjednoczenia Przemysłu Artykułów Technicznych i Galanteryjnych** — które wbrew własnym interesom godzą się tylko na budowę wspólnej stacji transformatorów, wspólnej drogi awaryjnej i magazynu materiałów łatwopalnych. Przedsiębiorstwa te budują się na trzech **s ą s i a d u j ą c y c h z sobą działkach na Teofilowie.**

Plany opracowują zjednoczenia i ministerstwa. Władze miasta dowiadują się o tym już po centralnych ustaleniach. Czas na interwencję w interesie miasta, a czasem i samego przemysłu — krótki. Racje nie zawsze dla partnerów do przyjęcia — racje miasta nie chcą być racjami przemysłu. Dwa organizmy ze sobą nie współżyjące w imię zasad nic wspólnego z rachunkiem ekonomicznym nie mających. I dlaczego miasto ma być tak o względy ekonomii troskliwe?

7.

Egzekutywa KŁ PZPR, Komitet Łódzki na swoich plenarnych posiedzeniach zajmował się sprawami rozwoju miasta. Oceniono prawidłowości w wyposażaniu osiedli — usługi, handel, żłobki, przedszkola, place zabaw, zieleń, szkoły, kawiarnie, kina — stwierdzając, że budownictwo bardziej troszczy się o ilość izb niż o to, co ludziom obok tego potrzebne jest do życia. Oceniano kierunki kształtowania polityki mieszkaniowej aż do 1970 roku. Na całym szeregu posiedzeń Egzekutywy KŁ PZPR rozważano plany rekonstrukcji branż włókiennictwa w jego tradycyjnych odmianach, przemysłu odzieżowego, maszynowego i elektrotechnicznego. Całość problemu zamknęły obrady plenarne KŁ PZPR, na których zajęto się **„Oceną działalności koordynacji rad narodowych i ich organów wykonawczych na terenie m. Łodzi".**

Precyzując kierunki dalszego k o o r d y n a c y j n e g o działania rad narodowych Plenum KŁ PZPR wysunęło niezwykle istotny problem.

„Należałoby przyjąć — stwierdza się w referacie przygotowanym na plenarne posiedzenie instancji łódzkiej organizacji partyjnej — **zasadę udziału jednostek gospodarki uspołecznionej w kosztach inwestycji ogólnomiejskich nie tylko wtedy, gdy występuje dodatkowe zapotrzebowanie na usługi komunalne, lecz również wówczas, gdy potrzeba utrzymania usług na dotychczasowym poziomie wymaga realizacji określonych inwestycji lub kapitalnych remontów".**

Rzecz sprowadza się do większego powiązania miasta z przemysłem i przemysłu z miastem. Poprawa komunikacji — usprawnienie dojazdów do pracy — poprawa stanu nawierzchni ulic, ich oświetlenia, to wszystko ma wpływ na warunki pracy fabryki. Taki sam wpływ ma remont sieci kanalizacyjnej i wodociągowej. Wszystko to jednak spoczywa na barkach miejskiego budżetu. Wiadomo przecież, że Łódź pod względem wyposażenia — komunikacji, sieci wodociągów, gazu, centralnego ogrzewania, kanalizacji i telefonicznej — nie należy do grona miast przodujących w kraju. Wiadomo dlaczego i możemy się tylko spierać czy wykorzystano wszelkie możliwości, aby stan ten w maksymalnym stopniu zmienić. Teraz wyłania się możliwość zjednoczenia sił i finansów. Wyłania się możliwość pomocy miastu. Możliwości tej nie wolno zaprzepaścić i nim znajdzie ona proponowany wyraz prawny — potrzeba dużo dobrej woli ze strony przemysłu.

8.

Jeśli przyjedziecie za siedem lat, aby popatrzeć jak zmieniło się miasto, aby podziwiać nowe dzielnice i jeździć szerokimi ulicami, to nie zapomnijcie o tych wszystkich, których inicjatywy — małe i duże — dały podstawę do tych zmian. Nie zapomnijcie o wysiłku i trosce łodzian — o jednym z najlepszych — a tak mało poważanym — patriotyzmów — o patriotyźmie lokalnym, który nic nie ma wspólnego z partykularyzmem.

— Czy nie nadmiar optymizmu — pytacie.

Sadzę, że nie. — Pokaże to zresztą rok 1970.

Z teki Ł.T.F. *Fot. B. Karewicz*

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że ten chłopak miał o wiele bardziej ułatwiony start w Szkole niż, np. równie uzdolniony syn chłopa spod Białegostoku. I ten fakt może budzić moje opory — nie zawód i miejsce pracy ojca. To samo przecież można powiedzieć w odniesieniu do tych wszystkich latorośli o znanych nazwiskach, których „wejście do Szkoły" na pewno odbyło się bardziej gładko. Zdając sobie z tego wszystkiego sprawę nie mogę odmówić sobie przyjemności zadania Czytelnikowi małego pytania. Otóż przyjmując identyczną skalę uzdolnień — kogo należałoby preferować przy przyjęciu do Szkoły:

a) syna kierownika produkcji zespołu filmowego?

b) wnuka znanej (jest nawet w Łodzi szkoła tego imienia) działaczki ruchu robotniczego?

Nie wiem co odpowie Czytelnik — ja się nie podejmuję. Zwłaszcza, że wiem iż Syn kierownika jest Wnukiem działaczki. Tak, tak, życie jest zbyt złożone, aby wymyślone przez nie sytuacje zbywać stwierdzeniami kategorycznymi.

W czasie prasowego grodobicia padło pod adresem Szkoły także sporo kategorycznych stwierdzeń na temat polityki stypendialnej. Argumentem był tu syn znanego reżysera — właściwie szarej eminencji polskiej kinematografii — który w Szkole otrzymywał stypendium. Rzecz istotnie paradoksalna. Ojciec zarabiający miesięcznie sumy o jakich przeciętny Polak nie śni nawet w skali rocznej — syn — ubogi stypendysta.

Sprawa jest istotnie paradoksalna, ale z nieco innych przyczyn. W odpowiednim dokumencie czytam mianowicie, że student ów jest co prawda synem znanego reżysera, ale znajduje się na utrzymaniu matki. „Znamy przy tym — czytam w dokumencie — sytuację materialną matki i corocznie na wakacje udzielamy studentowi A.F. zezwolenia na pracę w Spółdzielni Studenckiej „Puchatek", aby mógł matce dopomóc".

Tak to pokrętne i skomplikowane życie wdziera się w ładnie zbudowane formuły. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że Szkoła musiała wyręczać ojca w pewnych dość podstawowych — określonych prawem — obowiązkach.

Sprawy stypendialne Szkoły wymagają jednak nieco szerszego omówienia. Otóż istnieje ustalona odpowiednimi zarządzeniami Ministerstwa zasada, że student, który ukończył naukę na jednym wydziale nie może korzystać ze stypendium, jeśli kontynuuje studia na innych wydziałach. Zasada generalnie słuszna — Państwo nie może przecież finansować „kolekcjonowania dyplomów" zwłaszcza, że absolwent nawet kilku fakultetów podejmuje w końcu tylko j e d n ą pracę i jego pracownicza wartość w społeczeństwie sprowadza się tylko do j e d n e j funkcji. Zasada więc generalnie i społecznie słuszna — kto chce kolekcjonować dyplomy niech robi to na własny rachunek.

Ale... w Szkole Filmowej rzecz wygląda nietypowo. Na przykład w takim Studium Organizacji Produkcji studiować mogą w y ł ą c z n i e absolwenci prawa czy ekonomii. Jest to po prostu warunek — słuszny zresztą — przyjęcia na Studium. Podobnie sprawa wyglądała w swoim czasie na wydziale reżyserii, gdzie wymagano dyplomu wyższej uczelni, bądź znacznego zaawansowania na innych wydziałach — historii sztuki, filologii, ASP, itp.

Jakże więc stosować w specyficznych warunkach tej uczelni ową nieprecyzyjną literę prawa? Ponieważ jak dotąd Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego nie sprecyzowało swoich przepisów stypendialnych — od dwu lat wnioski stypendialne Szkoły zatwierdzane są każdorazowo przez ministra.

W Monitorze czytam, że trzy formy stypendiów: (pieniężne, stołówkowe, mieszkaniowe) przysługują w wypadkach, gdy dochód roczny na jednego członka rodziny nie przekracza 6 tys. zł (w rodzinach pracowniczych) lub 7.260 zł (w rodzinach chłopskich). W wypadku gdy dochód ten jest większy mowa jest o szczegółowych podziałach typu — jedno całkowite plus jedno częściowe, bądź dwa częściowe itp.

Na liście stypendystów PWSF można znaleźć kilka osób, gdzie ów ustalony zarządzeniem dochód roczny na jednego członka rodziny jest przekroczony o pięć, osiem czy nawet dziesięć procent. Szkoła uzasadnia to w różny sposób.

Znajduje mianowicie oparcie w Zarządzeniu MSzW z dnia 18. VIII. 64 (paragraf 5 ust. 1), które dopuszcza „nieznaczne przekroczenie" limitu zarobków, znów nie precyzując jak owe „nieznaczne przekroczenie" ma wyglądać konkretnie. W PWSF przyjęto więc 10 proc. jako górną granicę „nieznacznego przekroczenia".

W kilku wypadkach jednak przyznano stypendia mimo przekroczenia zarobków o więcej niż 10 proc. Np. student M. B. gdzie dochód na głowę członka rodziny przekracza tysiąc złotych miesięcznie, student Z. S., gdzie dochód miesięcznie na członka rodziny wynosi ponad 1300 zł... Przykładów takich jest jednak zaledwie cztery i w każdym prawie z tych wypadków zachodzą dodatkowe okoliczności w rodzaju „ciężka choroba rodziców", „półsierota — matka inwalidka" itp.

W sumie 190 studentów PWSF ma do dyspozycji 50 stypendiów całkowitych i 17 częściowych plus 19 tysiączłotowych stypendiów dla 19 studentów zagranicznych. Łącznie stanowi to ok. 600 tys. zł rocznie.

Ot i to wszystko co dziennikarz wyczytać mógł z udostępnionych mu dokumentów i co postarał się przekazać bez emocji, uprzedzeń i zadyszki sensacji.

RYSZARD MAŁECKI

LISTY Z „EINÖDE ZIERS"

Tegoroczne wiosenne porządki domowe spowodowały większe niż kiedykolwiek spustoszenie w moim prywatnym archiwum, zwanym pogardliwie przez żonę śmietnikiem.

W ostatniej chwili udało mi się ocalić i ukryć przed jej srogim okiem pokaźny plik papierów. Przeglądając je w bezpiecznym schowku stwierdziłem ze zgrozą, że wśród oczywistej makulatury znalazły się też pewne bardzo już pożółkłe kartki, których strata sprawiłaby mi wielką przykrość.

Są to rzekome listy, które pisał do mnie z Niemiec mój szkolny kolega i bliski przyjaciel, w letnich miesiącach 1940 roku. Rzekome dlatego, że nigdy ich stamtąd nie wysłał i nie miał nawet tego zamiaru. Pisał je przede wszystkim dla siebie, a forma listów do przyjaciela miała mu dać złudzenie kontaktu z kimś bliskim, w tych ponurych czasach, gdy znalazł się osamotniony w dalekim kraju wroga.

Jest to więc raczej pamiętnik polskiego licealisty, który właśnie dokładnie wówczas, gdy powinien zdawać egzaminy maturalne, musiał pasać bydełko u niemieckiego „bauera".

Szło mu to zresztą całkiem kiepsko i kariery pasterskiej nie zrobił, ku niewątpliwemu żalowi swego ówczesnego, niemieckiego pryncypała.

Nie mam wątpliwości, że woli swą karierę powojenną. Jest obecnie docentem i prodziekanem pewnego wydziału pewnej łódzkiej uczelni. Zmierza raźno ku profesorskiej katedrze i na pewno do niej dotrze. Jestem tego pewien, bo go dobrze znam. Zawsze był uparty i twardy, zwłaszcza dla siebie samego, nawet wówczas, gdy wywieziony przez okupanta na przymusowe, niewolnicze roboty, usiłował w pamiętniku opisywać swój podły los i swe przygody z humorem. Był w tym zresztą wyraźny, zamierzony cel. Chciał po prostu oszukać swą wrażliwość na wszystko, co się z nim samym i wokół niego działo.

Ale ta humorystyczna stylizacja nikogo nie zwiedzie, w każdym razie nie nas — pokolenie czterdziestokilkulatków, którzy przeszli przez okrutne doświadczenia tamtych, odległych już lat. Jeszcze dziś czuję w tych listach tłumione łzy wściekłości, upokorzenia i bezsiły, te łzy, które dławiły wówczas nas wszystkich.

Obyśmy byli ostatnim polskim pokoleniem, tak bezlitośnie doświadczonym we wczesnej młodości przez nieprzyjaźną nam do niedawna historię. Oby na zawsze pozostały po tych czasach tylko wspomnienia, utrwalone między innymi w treści takich niby listów:

Kempten, w czerwcu 1940 r.

Drogi przyjacielu!

Od wczoraj „bawię" w Kempten, bawarskiej mieścinie i w oczekiwaniu na to, co będzie dalej, piszę do Ciebie ten list. Nie bardzo jednak wiem, o czym najpierw i w ogóle pisać. Wszystko to, co się ze mną i wokół mnie dzieje, tylko częściowo dociera do mej świadomości.

Wypadki ostatnich dni potoczyły się z taką szaloną szybkością, że nie zdążyłem jeszcze należycie ochłonąć. Nie ma jeszcze tygodnia jak byliśmy obydwaj u Basi. A nazajutrz.... Nawet nie mam pewności, czy już wiesz dokładnie, co się ze mną stało. Ja zaś nie wiem, czy w międzyczasie Ciebie nie spotkało to samo. Teraz nie będzie nikt pewien wychodząc do miasta, czy wróci do domu.

Złapali mnie bardzo głupio, po prostu na ulicy. W Arbeitsamcie [1]) miałem zmartwienie jaki podać zawód. Bezrobotny licealista, to trochę ryzykowne. Powiedziałem więc, że jestem ogrodnikiem. Osądź sam, czy tak bardzo zełgałem. Każdej wiosny musiałem przecież przekopywać i grabić nasz domowy ogródek. Sadzić ziemniaki, siać rzodkiewkę i marchew, pod surową ojcowską kontrolą. Próbowałem zawsze się od tych obowiązków wymigać i nigdy mi się to oczywiście nie udawało.

Ale tu w Niemczech rzodkiewki siać nie będę. Zakwalifikowany zostałem jako „Landarbeiter" [2]), co każe mi przypuszczać, że zatrudniony będę na roli. Jakoś się tym jednak nie martwię, a nawet w związku z mym nowym zawodem usiłuję snuć pewne plany.

Słysząc mianowicie żałosne porykiwanie bydełka, które musiało nam ustąpić swych miejsc w oborze (!), marzę o tym, aby zostać pasterzem i paść trzody na alpejskiej hali. Zajęcie to wydaje mi się bowiem najłatwiejsze, a przy tym wielce romantyczne.

Zaintrygowany jesteś zapewne miejscem mego obecnego pobytu. Otóż gdy po dwudniowej podróży przybyliśmy do Kempten, ustawiono nas na dworcu w kolumnę trójkową i zaprowadzono do miejscowej „Tierzuchthalle", czyli mówiąc zwyczajnie, po polsku — obory! Biedne krówki ryczą teraz boleśnie na dworze, a my rozpieramy się wygodnie w ich barłogach i żłobach.

Ja zaś piszę do Ciebie ten list na stole zaimprowizowanym z beczki. Jeśli przy czytaniu w nozdrza Twe uderzy woń krowiego nawozu, to musisz mi wybaczyć, bo nie ja wybierałem sobie kwaterę.

Moi przygodni towarzysze niedoli czynią wrzask niemały kłócąc się o lepsze miejsca do spania wśród bydlęcego gnoju. Takie to są obecnie moje troski i problemy dnia dzisiejszego. A co przyniesie jutro — zobaczymy.

Nasi „opiekunowie" podpili sobie widocznie i teraz zawodzą rzewną niemiecką piosenkę — „Schön ist die Jugendzeit, sie kommt nicht mehr" [3]). Śpiewają to chyba dla nas. Bo nasza młodość, chociaż była tak krótka, nigdy już nie wróci...

No, no, tylko bez czułostkowości. Pamiętasz, jak nam zawsze mówił nasz befler od niemieckiego? „Ohren spitzen!" Uszy do góry! Przydały się na coś te lekcje, prawda? A więc — Ohren spitzen! Wkrótce napiszę coś więcej.

Twój przyjaciel
Zenek

Einöde Ziers, w czerwcu 1940 r.

Drogi przyjacielu!

Jestem już na miejscu przeznaczenia. Muszę Ci jednak opisać wszystkie moje przygody od ostatniego listu. Są one doprawdy niezwykłe, obawiam się więc, czy we wszystko uwierzysz.

W Kempten siedzieliśmy bezczynnie pięć dni i tyleż bezsennych nocy (pchły!), okupując wciąż miejscową „Tierzuchthalle". Piątego dnia zaprowadzono nas do kąpieli. Ale to się tylko tak niewinnie nazywało. W „Entlausungsstelle", czyli w ordynarnej odwszalni, kazano nam polewać się jakimś straszliwym płynem, który parzył jak piekielna smoła. Po tej „kąpieli" w spokoju i ciszy lizaliśmy swe rany, aż nas wezwano na badanie lekarskie. Tam spotkało nas coś znacznie od kąpieli gorszego.

Nadzy jak praojciec Adam stawaliśmy kolejno przed komisją lekarską, złożoną z samych kobiet i to młodych, a nawet ładnych.

Zrobiło mi się gorąco, jakbym kąpał się w całej beczce tego diabelskiego płynu z odwszalni. Ale nasza nagość i krwawe rumieńce na naszych gębach nie robiły na tych niemieckich lekarkach żadnego wrażenia.

Po tej kwarantannie zawieziono nas do Memmingen. Miasteczko takie samo jak Kempten i ludzie tacy sami. W Niemczech wszystko jest do siebie bardzo podobne, a przynajmniej ja tak to odczuwam.

W Memmingen zaprowadzono nas do gospody, dano jeść i pić, a po godzinie zaczęli schodzić się okoliczni bauerzy i nas kupować. Mnie kupił niejaki Martin Dorn, bogaty handlarz bydła i właściciel dużej fermy górskiej „Einöde Ziers".

Szedł więc każdy z nas za swym panem jak cielę za krową, oni zaś w krótkich, skórzanych porteczkach i potężnie okutych buciorach człapali w kierunku stacji, witając się po drodze ze znajomymi.

— Na, wie gents, Dorn? — zagadnął mego pana jakiś tłuścioch z olbrzymią fają w zębach — Hast du auch einen gekauft? Wie teuer sind die Polen heute? [4]).

— Fünf und zwanzig Reichsmark, ohne Trinkgeld! [5]) — brzmiała wesoła odpowiedź.

W ten sposób przekonałem się nareszcie o mojej istotnej wartości. Byłem bardzo usatysfakcjonowany. Wiesz przecież, jak to zawsze w domu i w szkole mówiono mi, że nic nie jestem wart, a tu nagle okazało się, że moja niezaprzeczalna wartość wynosi 25 marek niemieckich i to bez napiwku! Jeżeli weźmiesz pod uwagę, że jegomość, który całe życie handluje bydłem, po uprzednim zbadaniu moich zębów i mięśni (zawodowe przyzwyczajenie), daje za mnie 25 marek wyłączając napiwek, to chyba i Ty nie masz więcej zastrzeżeń co do mej wartości.

Miniaturową kolejką górską dobiliśmy do Laubach, małej osady u podnóża samych Alp. Wkrótce też znalazłem się w obrębie zabudowań „Einöde Ziers". Dorn zaprowadził mnie na pięterko do mej „sztuby", gdzie otrzymałem połamaną szafę i łóżko stojące między dwoma innymi.

Po starannym umyciu się zaprowadzony zostałem do mieszkania i pokazany domownikom. Oglądali mnie więc kolejno: Frau Rosa Dorn — żona gospodarza, Fräulein Tilda — jego kuzynka z metryką z czasów bitwy pod Sedanem, dalej Fräulein Hedwig — siostrzenica Dorna, która po maturze odrabiała u wuja swój „Landdienst" i pięcioro jego dzieci.

Gapili się też na mnie z otwartymi gębami dwaj fornale — Joseph i Thaddäus (tak! Tadeusz!), moi przyszli współlokatorzy, oby dwaj nieco „trzaśnięci w mózg", a także dwie dziewki od krów, których to krów Dorn ma aż 40.

Obyczaje są tu patriarchalne. Zjedliśmy wspólnie kolację, w czasie której wszyscy zerkali na mnie ciekawie. Bardzo ich pewnie intrygowało, czy potrafię posługiwać się łyżką i widelcem.

Aż do tej pory prawie nic nie mówiłem. Dopiero po skończonym posiłku wstałem, grzecznie podziękowałem i wygłosiłem po niemiecku krótką, ale ozdobną orację, wyrażając nadzieję, że będzie mi tu dobrze, bo ludzie są bardzo mili, a okolica jest bajkowo piękna. Wtedy wszyscy nie wyłączając Dorna, otworzyli ze zdumienia gęby.

Mam wrażenie, że do niedawna wyobrażano sobie tu Polaków, jako dzikich, kosmatych, odzianych w skórę „podludzi", łażących na czworakach i żrących mięso na surowo.

Po kolacji Dorn ujął mnie protekcjonalnie za ramię i wyprowadził na korytarz.

— No i co? — spytał — podoba ci się Hedwig?

Pogroził mi palcem i powiedział: Uważaj! — po czym nagle westchnął: Eh, bodaj to być młodszym i nie spokrewnionym z Hedwig! — Życzeniu temu towarzyszył zły wzrok skierowany w stronę kuchni. I jakby wstydząc się swej szczerości mruknął: „Gute Nacht" i zniknął w pokoju.

Poszedłem na górę, gdzie obiekt grzesznych pożądań wujaszka krzątał się już po mej sztubie przygotowując mi pościel. Nawiązałem rozmowę, z której dowiedziałem

Z teki Ł.T.F. *Fot. K. Janaszewski*

się, że kocha muzykę, śpiew i wino, a piwska nie znosi, choć w pobliskim Legau rodzice jej mają „Weinstube", gdzie wina jest zawsze mało, a piwa w bród. Na pożegnanie oświadczyła, że inaczej wyobrażała sobie Polaków, że dziwi się, iż ja tak ładnie mówię po niemiecku i jestem miły. Hą!

Po jej odejściu zasiadłem do pisania. Noc już otuliła Alpy i całe „Einöde Ziers" śpi dawno snem pracowitych, a ja wciąż piszę i myślę.

Dużo bym dał za to, aby ucałować teraz Twoją poczciwą mordę, co niniejszym czynię listownie. Ale trzeba kończyć bo jestem zmęczony. Jutro mam wprawdzie jeszcze dzień od pracy wolny, lepiej jednak iść już spać. Może mi się przyśni Łódź?

Twój Zenek

Einöde Ziers, w lipcu 1940 r.

Drogi mój przyjacielu!

Przez przeszło miesiąc mego tu pobytu nic nie pisałem, bo nie było kiedy. Pierwszego dnia pracy obudzono mnie o świcie, wręczono jakieś diabelskie widły i wypędzono w pole.

Niewyspany i zły musiałem rozrzucać ster ty siana, które następnie trzeba było znów grabić, znów rozrzucać i tak w kółko. Rano wychodząc na podwórze widzę co dzień naj pierw kupę siana, papieros po śniadaniu ma także smak siana. W zupie znajduję zwykle zdechłą muchę, a jeśli jest żywa, to pływa sobie na źdźble siana. Wieczorem, kładąc się na upragniony spoczynek, wyciągam z ubrania furę siana, a gdy już zasnę, to śni' mi się — cholera — siano!

Od ciężkiej melancholii uratowało mnie wezwanie do policji, które wyrwało moje myśli z zaklętego kręgu siana. Nic mi na szczęście nie groziło. Podobne wezwania otrzymali wszyscy świeżo przybyli tu Polacy, zebranie zaś zwołano w... knajpie, co mnie już całkiem uspokoiło.

Na miejscu zastałem już liczne audytorium polskie w różnym wieku i różnej płci — męskiej, żeńskiej, a nawet, jak mi się wydawało — nijakiej.

Wkrótce zjawił się przedstawiciel miejscowej władzy — jedyny na całą gminę policjant, a zarazem komendant straży pożarnej i Leiter der NSDAP. Osobistość, skupiająca w sobie tyle godności, w zakresie władzy terytorialnej, odznaczała się ogromnym brzuchem, co kazało mi przypuszczać, iż nie gardzi ona piwem.

I rzeczywiście, gdy po godzinnym przemówieniu na temat naszych „praw" i obowiązków otarł spocone czoło, kazał sobie niezwłocznie podać dwulitrową „lorę" piwa.

Następnie zabrał głos wąsaty tłumacz, który cały czas notował mozolnie referat „pana władzy" i tak nam go oto streścił:

— Widzicie chłopy i kobity, ja też jestem Polak, ale że mówię dobrze po niemiecku, to mnie zrobili „dolmeczerem". Teraz wam dokumentnie wytłumaczę, co mówił pan władza. Pan władza mówił, że jak sobie pościelicie, tak się wyśpicie. A potem pan władza mówił żebyście wszyscy nosili na ubraniu „P", żeście niby Polaki, a co niedziela chodzili do birgermajstra meldować się, żeście jeszcze nie uciekli. Zrozumieliście?

— Jakby mi ojciec rodzony tłumaczył! — wrzasnąłem głośno, czym widocznie ucieszyłem dolmeczera, bo wypiął dumnie brzuch i pokręcił wąsa.

Z przemówienia „pana władzy" wynikało, że wolno nam jeść, pić i spać, no a przede wszystkim pracować, wszystko zaś inne jest — verboten! [6]). Najczęściej spotykane słowo w języku Goethego.

Moje prawo do pracy egzekwowane jest szeroko przez mego pryncypała. Postanowił, że zrobi ze mnie wykwalifikowanego Landarbeitera i w związku z tym muszę przejść wszystkie działy hodowlanego kunsztu..

Po epoce siana nastał więc okres pasterski. Spełniły się marzenia, które snułem pierwszej nocy pobytu w kempteńskiej oborze. Ale rzeczywistość przedstawiała się mniej sielankowo.

Rano wychodząc na pastwisko otrzymywałem mały kij i 40 dużych krów. Moim zadaniem było przyprowadzić wieczorem krowy w tej samej ilości, kij zaś mogłem sobie zgubić. Przeważnie jednak bywało odwrotnie, to znaczy wracałem z samym tylko kijem, a na pytanie, gdzie są krowy odpowiadałem zwykle, że w lesie. Wówczas w Einöde Ziers ogłaszano powszechną mobilizację i organizowano obławę.

I tak płynie to moje życie u stóp Alp nie bosiężnych, co to je Hannibal jeszcze... wiesz zresztą jak to tam kiedyś było.

Chcesz pewnie wiedzieć, jak mi tu jest naprawdę — dobrze, czy źle? Ano, na pewno lepiej niż innym, u innych bauerów, na pewno o wiele lepiej niż w fabrykach, czy kopalniach i z całą pewnością lepiej niż w Dachau (nie tak stąd daleko!), gdzie po majowych aresztowaniach tylu naszych kolegów i profesorów.

No, a co do tych matur, które mieliśmy zdawać w tym roku, to chybę trochę musimy poczekać. Ale kto wie, może nie tak długo. A więc drogi przyjacielu — Ohren spitzen! Pamiętaj!

Twój Zenek

Zadumałem się nad tymi kartkami. To już prawie trzy dziesiątki lat. Może więc nie wypada wyciągać panu docentowi-dziekanowi jego pasterskiej przeszłości? E, co tam! Powinien być raczej zadowolony, a na wet dumny. Nie każdemu tak się udało.

Abyśmy jednak byli sprawiedliwie skwitowani, muszę się przyznać, że w tym samym czasie byłem furmanem i to znacznie lepszym furmanem niż on pastuchem! Nawet dziś jeszcze nieźle powożę. Szkoda tylko, że okazji coraz mniej!

---

[1]) niemiecki urząd zatrudnienia
[2]) robotnik rolny
[3]) Piękna jest młodość, lecz nigdy już nie wróci.
[4]) No i jak idzie, Dorn? Kupiłeś także jednego? Po ile dziś Polacy?
[5]) Dwadzieścia pięć marek bez napiwku!
[6]) zabronione.

JAN KOPROWSKI

Rzeczowo zwięźle i z fajerem

Człowiek boi się zebrań, jak diabeł święconej wody. Raz dlatego, że tych zebrań wciąż jest dużo, a po wtóre, że zbyt wiele słyszy się na nich drętwej mowy. Są ludzie, którzy cierpią na tzw. uraz zebraniowy. A przecież zebrania były, są i będą. Nie da się ich wyeliminować z życia społecznego. Co najwyżej można je ograniczyć, a także ulepszyć technikę ich prowadzenia. Słowem: chodzi nie o to, żeby było długo i nudno, lecz o to, żeby było krótko i rzeczowo. Sztuka mówienia, sztuka przemawiania i dyskutowania to umiejętności, wielu naszym zebraniowiczom zupełnie nieznane. Świetnie natomiast potrafimy gędzić, usypiać, zanudzać, odbierać resztki ochoty do czegokolwiek.

Nie będę ukrywał, że i na zebranie, zorganizowane przez Wojewódzki Komitet Stronnictwa Demokratycznego, szedłem z lękiem w sercu. Byłem pewien, że się zanudzę na śmierć, jeśli w ogóle wytrwam do końca. Tymczasem, o dziwo! nie tylko nie wyszedłem przed końcem, lecz przeciwnie: z prawdziwym zainteresowaniem wysłuchałem zagajeń i głosów w dyskusji. Było to jedno z najlepiej przeprowadzonych zebrań, w jakich miałem okazję uczestniczyć już od pewnego czasu. Po pierwsze: trwało ono krótko. Od 11 do 14 (w tym samym dniu, kochani). Aż trudno uwierzyć, prawda? W tych trzech godzinach zmieściły się referaty wprowadzające i kilkanaście wystąpień dyskusyjnych. Po drugie: ludzie mówili rzeczowo i krótko. Po trzecie: nie było w tej dyskusji klajstru. Po czwarte: mówiono krytycznie i z obywatelską troską.

A o czym mówiono? Ano właśnie. Tematem zebrania były aktualne problemy kultury ze szczególnym uwzględnieniem spraw Łodzi i województwa oraz ich wzajemnej współpracy. Z trudem daje się pojąć, że zarówno referenci, jak i dyskutanci, mogli w tak krótkim czasie poruszyć takie sprawy, jak niedostatki ideologicznych treści, ucieczkę od współczesności i schlebianie niewybrednym gustom w polskim filmie fabularnym, wymianę kulturalną z zagranicą, programy pracy Wydziałów Kultury Rad Narodowych i Domów Kultury, działalność szkolnictwa artystycznego, działalność teatrów muzycznych. Z naszkicowanych wyżej zagadnień ogólnych wyłoniły się dalsze, bardziej szczegółowe, a więc: kwestia rozmieszczenia szkół artystycznych w Polsce, zaostrzenie kryteriów przyjmowania i poprawienie składu socjalnego uczniów, sprawa kadry nauczającej (często, co tu gadać, wielce zacofanej), brak kontaktów między wykładowcami a słuchaczami, niedostatki nadzoru artystycznego w filmie, itd., itp.

Na zebraniu tym poruszono sprawy pozornie błahe, które w istocie bardzo są ważne z punktu widzenia propagandy kultury polskiej. Dla piszącego te słowa „mało ważną" sprawą była sprawa polskich nagrań płytowych. Zebranie przekonało mnie, że się myliłem, tak mniemając. Płyta staje się doskonałym elementem upowszechnienia muzyki i sztuki recytacji. Inne kraje przywiązują do tej „formy przekazu" wielką wagę. Dla przykładu podajmy, że np. czeska firma „Supraphon" znana jest na całym świecie jako skuteczny eksporter czechosłowackiej kultury muzycznej. Czesi dawno nas już prześcignęli. Ale co tam Czesi! Prześcignęli nas również Węgrzy i Rumuni. Dlaczego? Nasza masa, z której wyrabia się płyty, jest bardzo złej jakości, a wytwórnia płyt w Warszawie, mieszcząca się w lokalu dawnej przedwojennej firmy prywatnej — przestarzała. Skutek taki, że polskie nagrania są bardzo kiepskie i nie mogą liczyć na eksport za granicę.

Jeden z dyskutantów (ściśle: jedna z dyskutantek) poruszył sprawę kształcenia wokalistów. Dyskutantka powiedziała: „Weszliśmy do szkoły z głosami, a wyszliśmy bez głosów". Okazuje się, że brak słuchu funkcjonalnego u profesorów, nie pozwala im postawić dobrze głosu swoich uczniów. Wyniki? Wielu absolwentów Wyższej Szkoły Muzycznej pracuje w zupełnie innych dziedzinach. Dochodzimy tutaj do niesłychanie smutnego stwierdzenia: wykładowcy uczą źle, w sposób dziewiętnastowieczny, nie odpowiadający wymogom współczesnej wokalistyki.

Dostało się w tej dyskusji i Ministerstwu Kultury i Sztuki. Ktoś powiedział po prostu: „Ministerstwo Kultury zajmuje się kulturą zawodową, zetatyzowaną, nie zajmuje się natomiast kultura społeczną, względnie zajmuje się nią w stopniu minimalnym".

A co mówiło się o Łodzi i województwie? Mówiło się sporo, krytycznie i żarliwie. Województwo łódzkie ciągle jeszcze jest niedoinwestowane, brak bazy materialnej do działalności kulturowej. W Tomaszowie i Kutnie nie ma w ogóle Domów Kultury, jedyne kino w Skierniewicach jest tak stare, że wkrótce przestanie się w nim w ogóle wyświetlać filmy. Świetny znawca zabytków stwierdził z ubolewaniem, że zamek w Łęczycy odgrzebano wiele lat temu i nie widać końca tej roboty, giną freski w Tumie, a niezakończone prace nad restauracją zamku w Poddębicach powodują, że niszczeje to, co jest. Bardzo ospale posuwają się roboty nad zabezpieczeniem zabytków w Gostkowie. Najlepsze wrażenie robi Kruszyna (jeden z najpiękniejszych zabytków polskiego baroku) i Uniejów.

Patrioci Łodzi skarżyli się (pozytywnie, pozytywnie), że niszczeją stare sztandary, pamiątki i postulowali utworzenie Muzeum m. Łodzi, w którym by gromadzono i ocalano od zapomnienia ślady ludzkiej pracy i ludzkiego heroizmu. „Rocznik łódzki", wydawany przez Towarzystwo Historyczne, walczy z trudnościami finansowymi, redakcja musi mocno zabiegać, żeby rocznik ten wydawać. We wszystkich tych wypowiedziach przebijała troska, a tony krytyczne nie były wyrazem malkontenctwa, lecz pewnej niecierpliwości, której źródła są szlachetne i piękne. Karol Dickens powiedział, że patriota to taki człowiek, który jest niezupełnie zadowolony ze swej ojczyzny. Bo (dodajmy) gdyby był całkowicie zadowolony, nic by już dla niej nie zrobił. A ludzie chcą zrobić wiele, więcej niż można, i boli ich opieszałość biurokratyczna. Nie przesadzę, jeśli powiem, że było to zebranie patriotów, którym kultura polska leży głęboko na sercu.

Z obowiązku kronikarskiego dodam, że w zebraniu wzięli udział i w dużej mierze byli jego drożdżami, członkowie Sejmowej Komisji Kultury: Roman Kaczmarek (Łódź), który przewodniczył obradom oraz Stanisław Kaliszewski (Warszawa), Stanisław Lorentz (Warszawa), Witold Lassota (Bydgoszcz) i Krystyna Marszałek-Młyńczyk (Białystok). Bardzo płodna i bardzo pożyteczna sesja. Pod każdym względem.

TP OBIEKTYW

SUŁKOWSKI —jakobin polski

Legenda napoleońska była w narodzie polskim bardzo żywa. Wielkiemu cesarzowi Francuzów chętniej pamiętało się stworzenie Księstwa Warszawskiego — jakby nie było namiastki niepodległego państwa — niż frymarczenie sprawą polską w traktatach pokojowych w Campoformio i Luneville. Jego orłom na sztandarach przypisywało się rolę nosicieli haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej, nie dostrzegając, że właśnie Bonaparte był tej rewolucji grabarzem.

Siła zwodnicza mitu była ogromna. Zaciążyła nad literaturą, że wspomnę choćby wzruszającą postać bonapartysty Rzeckiego z „Lalki" Prusa. Z mitu napoleońskiego potrafił coś dla siebie uszczknąć Józef Piłsudski, który nie darmo formacjom swoim nadał nazwę nawiązującą do tradycji Legionów Dąbrowskiego.

Żeromski był w odkłamywaniu legendy bojownikiem zażartym i konsekwentnym. Nie uląkł się wielkości Napoleona. Bezbłędnie rozszyfrował go i zrozumiał, że dla Bonapartego ważne było tylko wywyższenie własnej osoby. Wszystko inne stanowiło środki do celu. Hasła rewolucyjne, patriotyzm zło ta sława armii francuskiej, wreszcie sprawa polska — to były jedynie karty z talii, która Korsykanin rozgrywał swoją wielką grę.

Niewielu ze współczesnych umiało w blasku jego chwały dostrzec tę prawdę. Należał do nich jak się zdaje jakobin polski i wierny żołnierz rewolucji Józef Sułkowski. Jako przyboczny adiutant Bonapartego śledził każdy jego krok, widywał go w sytuacjach prywatnych, gdy z twarzy wodza spadała maska, jaką nosił dla świata, odsłaniając na moment prawdziwe oblicze. Gdy 21 października 1798 roku Sułkowski zginął w Kairze w pobliżu bramy Boulaq z rąk powstańców arabskich, mówiono, że Napoleon odegrał przy tym dość dwuznaczną rolę. To pewne, że z ulgą przyjął wiadomość o śmierci swego rówieśnika, trzydziestoletniego pułkownika polskiego, o którym uporczywie szeptano, że zdolnościami wojskowymi, talentem i żarliwością przerastał swego wodza.

Te właśnie postać uczynił Żeromski bohaterem swego dramatu, akcentując wielkie zdolności i czystość intencji młodego oficera. Sułkowski w jego ujęciu ma zadatki na przyszłego wodza Polaków i skrystalizowany program społeczny: dąży do Polski, w której lud zrównany zostanie w prawach ze szlachtą. Rozmowa na biwaku żołnierskim pod Weroną na wstępie sztuki jest tego ewidentnym dowodem.

Do Napoleona ma stosunek złożony. „Uczę się geniuszu tego człowieka", mówi. A w innym miejscu: „Ja muszę za tym człowiekiem iść, jak cień, ażeby posiąść sztukę jego decyzji, szybkiej jak błysk piorunu". Ceni go jako stratega. Nieprzyjaciel, bywało, dwukrotnie liczniejszy od armii francuskiej ustawia starannie szyki, a Bonaparte spada jako orzeł na jedno skrzydło, uzyskując błyskawicznie przewagę.

Tej nowej strategii, przed którą drżeli generałowie austriaccy, uczył się Sułkowski pod Arcole i pod Rivoli. Jednocześnie jednak poddaje Napoleona permanentnemu egzaminowi, czujnie zważa, czy wódz armii rewolucyjnej nie sprzeniewierza się ideom rewolucji. Gdyby to miało nastąpić, „znajdzie się w republikańskich obozach Brutus". Można by nawet przewidzieć jego imię.

Drugim testem, jakiemu poddaje Sułkowski uczciwość Napoleona, jest sprawa polska. Jeśli generał zawiedzie nadzieje Polaków, jeśli przejdzie „po głębokiej wierze żywych, jak po trupach tych, co padli w boju", wówczas będzie mu należało cofnąć zaufanie i poparcie.

Krytyczny i czujny stosunek do Napoleona oraz osobiste walory Sułkowskiego zwracają nań uwagę wrogiego obozu. Dramat Żeromskiego, to po większej części obrazy kuszenia bohatera, próby skaptowania go dla kontrrewolucji. Rojalistyczny hrabia d'Antraigues spełnia w stosunku do niego rolę podobną jak Mefisto wobec Fausta, choć z odmiennym skutkiem. Sułkowski odrzuca miraże osobistej kariery, rezygnuje nawet z miłości do księżniczki Agnieszki mantuańskiej, by pozostać wiernym swemu powołaniu aż do śmierci.

„Sułkowskiego" oglądaliśmy 21 czerwca w kształcie widowiska telewizyjnego zrealizowanego przez Ośrodek łódzki w reżyserii Ryszarda Sobolewskiego i oprawie scenograficznej Cz. Siekiery. Spektakl przygotowany został starannie, a Bogumił Antczak zagrał rolę tytułową z dużym skupieniem i szlachetnym patosem. Trochę pretensji budzi adaptacja i tym pragnę zająć na chwilę uwagę czytelników.

Wydaje mi się, że R. Sobolewski, zmuszony dokonać znacznego przykrojenia tekstu dramatu, uwypuklił nadmiernie stronę romansową „Sułkowskiego". Zmienione proporcje wewnętrzne scenariusza telewizyjnego w stosunku do oryginału spowodowały, że moim zdaniem zatarte zostały elementy rozprawy Żeromskiego z mitem napoleońskim i słabo wyakcentowana jakobińska postawa Sułkowskiego.

Między innymi całkowicie skreślona została scena, gdy Sułkowski trafia na tajną naradę wenecjańskich dostojników u księcia Herkulesa d'Este. Sam jeden przeciw wszystkim, na wzór Kopernika czy Galileusza, Sułkowski rzuca tam dumne wyzwanie światu feudalnemu, występuje jako prorok nowej ery ludowładztwa. Wydaje mi się, że całkowita rezygnacja z tej partii tekstu odebrała wiele ogólnej wymowie dramatu, którego główna wartość nie leży, przecież w fabule. Ta skonstruowana jest przez Żeromskiego raczej jako pretekst dla przekazania omówionych wyżej treści niż jako cel sam w sobie.

Władysław Orłowski

spektakle tygodnia

	spektakle	widzów	%
TEATR WIELKI			
„Pan Twardowski"	1	1276	100
„Straszny Dwór"	1	1276	100
„Tosca"	1	1276	100
„Jezioro Łabędzie"	1	1276	100
„Zemsta nietoperza"	1	1276	100
NOWY — Mała Sala			
„Gra miłości i przypadku"	6	600	50
JARACZA			
„Niemcy"	4	1080	50
7.15			
„Bliźniak"	2	550	65
POWSZECHNY			
„Baba-Dziwo"	1	580	88
„Kawior i kaszanka"	4	2400	90
OPERETKA			
„Dziękuję ci, Ewo"	6	4058	62
TZŁ			
„Pan Puntila i jego sługa Matti"	3	7318	100
FILHARMONIA			
Recital organowy	1	350 słuch.	50
Koncert symfoniczny	1	550	70
Koncert ork. symf. z Frankfurtu n/Menem	1	500	65

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Na przełomie XIX i XX wieku w ogromnych nakładach pojawia się literatura brukowa, zawierająca w groszowych zeszytach nieprawdopodobne wręcz intrygi i sensacje. Kino jarmarczne — uciecha ciżby, podchwytywało skwapliwie tematy owych utworów i coraz częściej na ekranach pojawiają się obrazy, których scenariusze zaczerpnięte zostały z opowiastek sensacyjnych, zamieszczanych w odcinkach na łamach wielkich dzienników. Literatura ta opowiada o perfidnych przestępstwach, krwawych zbrodniach, karkołomnych pościgach za mordercą, zwycięskich potyczkach policji. Tak to pod wpływem i w ścisłym powiązaniu z literaturą kryminalną powstaje francuski film policyjny — całe serie filmów, których bohaterami są: tajemniczy zbrodzień Rocambole, dama z paryskiego świata podziemi Protea, niecna Musidore, Zigomora oraz nieuchwytny przestępca — anarchista Fantomas.

Fantomas jest bohaterem rozchodzącej się niegdyś w milionowych nakładach powieści francuskiej spółki autorskiej — Souvestre i Allain. Pierwszych ekranizacji serii powieściowej dokonał przed pięćdziesięciu bez mała laty Louis Fevillade, znakomity reżyser francuski epoki kina niemego, późniejszy twórca słynnego Judexa.

Franju kręci remake „Judexa" Fevillade'a, zachowując urokliwą poetykę poprzedniej wersji, jej naiwny wdzięk i atmosferę z pogranicza realności i ballady.

Niestety, wskrzeszenie Fantomasa nie powiodło się Hunebelle'owi zupełnie — film „Fantomas wraca", to efektowna łatwizna widowiskowa w panoramie i kolorze.

Schemat fabularny typu „Tomka Sawyera", prymitywizm w stawianiu i rozwiązywaniu konfliktów, nieudolnie prowadzona narracja, pełna dłużyzn, to zgoła policzek dla publiczności powyżej lat dwunastu.

Reżyser inscenizuje szereg efektownych przebieranek, preparuje mit nieokreślonej acz straszliwej broni, która może oczywiście dać Fantomasowi panowanie nad światem, każe dokonywać cudów zręczności Jean Marais, aktorowi o lamusowatym już dziś wdzięku Casanovy; dla urozmaicenia zabawy miejscem akcji czyni nawet wnętrze zalanego wodą wulkanu;

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Z tym większym zdumieniem zaobserwować można było efemeryczne wręcz pojawienie się i zniknięcie jednego z piękniejszych, doskonalszych artystycznie filmów radzieckich — „Ostatniego miesiąca jesieni" Derbieniewa. Należy on do tych niezwykłych filmów, które nieczęsto pojawiają się na naszych ekranach w masie nerwowego ekshibicjonizmu produktów różnych „nowych fal". Jest to piękny w swym kształcie wizualnym, z rosyjska epicki i rozlewny. Anegdota fabularna jest bardzo prosta, otóż stary Mołdawianin wobec zbliżającej się zimy popada w melancholię i alarmuje swe dzieci, by natychmiast przyjechały. Ponieważ manewr ten powtarza od lat, dzieci nie reagują. Przedsiębiorczy staruszek z koszem domowych łakoci wybiera się w podróż, by kolejno odwiedzić swych synów — pisarza, studenta, leśniczego, traktorzystę, by raz jeszcze zobaczyć ich przed śmiercią. Efekt szczególnej intymności i liryzmu uzyskał reżyser poprzez osobliwą konstrukcję ciągu wydarzeń — tzw. widzenia subiektywnego, film bowiem ma formę refleksyjnej opowieści syna-pisarza o wydarzeniach jesiennych.

Konstrukcja utworu oparta jest na zasadzie konfrontacji postaw i modeli życia reprezentowanych przez kolejno odwiedzanych synów, co w konsekwencji przynosi bogaty materiał dla przemyśleń na temat przyczyn ludzkiej samotności, daremnych prób porozumienia ludzi sobie najbliższych, czy emancypacji społecznej.

„Ostatni miesiąc jesieni" przynosi mnogość obserwacji obyczajowych, które sprawiają, iż akcja osadzona jest silnie w realności mołdawskiej wsi: autentyczne wiejskie przyjęcie ze śpiewkami, tańcami, pohukiwaniami, naturalna ludowa prostota i wylewność, a w tle rozległy pagórkowaty krajobraz Mołdawii.

Narracja filmu jest tradycyjna, obraz ontologicznie jednoznaczny. Cudownie jednoznaczny wobec wybujałej metaforyki współczesnej twórczości filmowej. Piękne zdjęcia jesiennego pejzażu, o których bez przenośni powiedzieć można, iż spowite są mgiełką poezji (obiektywy softujące), towarzysząca im na zasadzie ilustracji nastrojowa muzyka, głęboka mądrość starego Mołdawianina i barwna zwyczajność jego przygód, tworzą film o rzadko spotykanej aurze lirycznej, uśmiechniętej zadumy.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

16-LETNIA MISTRZYNI ŚWIATA

■ Nazywa się Lena Karpuchina. Ma szesnaście lat. Jest uczennicą. Kilka miesięcy temu na zawodach w Kopenhadze została mistrzynią świata w artystycznej gimnastyce. Po powrocie do Moskwy, gdzie stale mieszka, przeprowadziła z nią krótki wywiad przedstawicielka radzieckiego czasopisma „Junost". Na pytanie czy Lena przywykła do swego wysokiego tytułu mistrzyni świata, Lena odpowiedziała: „Nie, do tej pory nie mogę w to uwierzyć. Może dla tego, że nigdy nie zdobyłam dotąd złotego medalu".

Z początku zresztą nie uwierzyła w swój sukces. Myślała, że to pomyłka. Jej trener Maria Lisicjan zawsze do niej

mówiła: „Nie licz punktów. Nigdy nie obliczaj kto znalazł się na jakim miejscu, to przeszkadza, powinnaś myśleć tylko o swoim występie".

Lena uczy się dobrze, lubi zwierzęta, trenuje artystyczną gimnastykę trzy razy w tygodniu od trzech do czterech godzin.

ZMARŁ SALVATORE QUASIMODO

■ W wieku lat 67 zmarł sycylijski poeta, laureat nagrody Nobla w roku 1959, Salvatore Quasimodo. Wyjechał on do Amalfi aby wziąć udział w jury dla przyznania nagrody poetyckiej. W czasie posiedzenia jury Quasimodo doznał udaru mózgu. Poetę przewieziono do kliniki w Neapolu, gdzie wkrótce zmarł.

Salvatore Quasimodo urodził się w Syrakuzach w roku 1901. Początkowo kształcił się w kierunkach technicznych, a następnie studiował łacinę, grekę, francuskich poetów. Sławę przyniosła mu nagroda Nobla za twórczość poetycką. W jego utworach ważne miejsce zajmowały problemy społeczne.

ŚPIEWAJĄCY POMNIK

■ Międzynarodowy Związek Elektrołączności ogłosił konkurs na najlepszy pomnik, który ma stanąć w Genewie na placu Narodów, dla uczczenia stulecia istnienia Związku.

Projekt młodych radzieckich architektów, L. Misoźnikowa, Ju. Ilina-Adajewa, R. Kananina wykonany pod kierownictwem J. B. Biełopolskiego przy współpracy z akustykami jednego z instytutów fizyki, zdobył na konkursie pierwsze miejsce.

Pomnik ma kształt dwóch odsuniętych nieco od siebie, wydłużonych czasz, przypominających kształtem nauszniki. Wysokość każdej czaszy wynosi 10 metrów. Wykonane są z betonu, wewnątrz zaś pokryte polerowanym tytanem. Odległość między tymi czaszami jest tak wymierzona, że każdy dźwięk, nawet szmer słabego wiatru, wielokrotnie odbijając się od wklęsłych powierzchni czasz, wzmaga się łącząc się z innymi, wplatającymi się w niego dźwiękami. Razem tworzy to wrażenie dziwnej i wciąż zmieniającej się muzyki. „Śpiew" tego pomnika słychać już z daleka.

BIOGRAFIA ANDRE GIDE'A

■ George Pinter jest autorem obszernej, dwutomowej biografii Marcela Prousta. Dzieło to przyniosło mu duże uznanie. George Pinter wydał ponadto książkę poświęconą omówieniu życia i twórczości André Gide'a. Radio Francuskie w programie France-Culture nadało ostatnio czterdziestominutową audycję podczas której odczytano fragmenty książki Pintera.

André Gide urodził się w 1869 roku w Paryżu, zmarł w 1951. Do najbardziej znanych powieści Gide'a należą: „Ziemskie pokarmy", „Amoralista", „Ciasna brama", „Lochy Watykanu", „Jeżeli nie umiera ziarno...", „Fałszerze". W roku 1947 został laureatem nagrody Nobla.

„KLUCZ" DO VILLONA

■ Czasopismo „Nouvelle Revue Francaise" zamieściło ostatnio sensacyjną pracę Pierre Guirauda, który badając archiwa procesu w Dijon z roku 1455 szajki oprysków tak zwanych coquillards, wynalazł „klucz" do odczytania sześciu ballad Villona pisanych w żargonie tejże szajki. Ballady te były dotąd traktowane jako całkowicie nie do rozszyfrowania pomimo pilnych prac badawczych prowadzonych od wieku. Obecnie teksty ballad stają się zupełnie jasne, gdy posługiwać się „kluczem" Guirauda.

„Wszystkie słowa — pisze autor artykułu — mają sens potrójny i przedstawiają trzy wersje, w ten sposób że mamy właściwie osiemnaście ballad choć posiadamy tylko sześć tekstów". Ten potrójny kod Guirauda wywoła niewątpliwie pasjonujące dyskusje, ale wyjaśnienie badacza wygląda na przekonywające.

W związku z tą sprawą przypomnijmy pokrótce życie i działalność pisarską Francois Villona, uznanego przez historyków literatury za pierwszego nowożytnego poetę Francji.

Francois z Montcorbier urodził się ok. r. 1432 w niezamożnej rodzinie w Paryżu. Osierocony dość wcześnie przez ojca, wychowywany był przez matkę, która korzystała z opieki materialnej bogatego kuzyna Wilhelma de Villon, kanonika klasztoru św. Benedykta. Francois, który przybrał nazwisko swego opiekuna, kształci się i zapisuje na wydział sztuk wyzwolonych, zdobywając w 20 roku życia tytuł magistra. Wcześnie zaczyna awanturnicze życie przyjaźniąc się ze złodziejami, fałszerzami pieniędzy, odwiedzając spelunki i karczmy, biorąc udział w bójkach, pijatykach i awanturach. 5 czerwca 1455 Francois Villon, w zwadzie o piękną Ysabeau, broniąc swego życia, zadaje śmiertelny cios konkurentowi. Ucieka z Paryża. Wtedy to zdaje się wiąże się ze słynną szajką opryszków, grasującą na terenie całej Francji, tak zwanymi coquillards. Gdy w pół roku potem sprawa o zabójstwo zostaje umorzona, Villon wraca do Paryża. W rok później bierze czynny udział w kradzieży z włamaniem. Znów ucieka. W tym to mniej więcej czasie pisze żartobliwy poemacik pt. „Legaty mistrza Francisza Villona", zwany później „Małym Testamentem" Poeta błąka się po środkowej Francji, jakiś czas przebywa na dworze księcia Karola Orleańskiego, gdzie bierze udział w konkursie poetyckim, ale w lecie 1461 roku przesiaduje, zakuty w łańcuch w więzieniu, podejrzany o udział w kradzieży i zabójstwie. Amnestiowany z okazji koronacji Ludwika XI wraca do Paryża, gdzie pisze swój słynny „Wielki Testament". W listopadzie 1463 roku znów podejrzany o bezpośredni udział w bójce (choć uciekł na samym jej początku) zakończonej morderstwem jednego z szacownym mieszczan, Villon wtrącony zostaje do więzienia, poddany torturze wodnej i skazany na powieszenie. Wtedy to powstaje wzruszająca „Ballada wisielca". Apeluje o złagodzenie wyroku i prośba odnosi skutek. Villon wypuszczony na wolność musi jednak oddalić się z Paryża i okolicy. Ma wówczas 32 lata. Potem ślad po nim ginie. Najprawdopodobniej wkrótce umarł. Pozostawił po sobie najpiękniejsze i najbardziej przejmujące w literaturze francuskiej XV wieku liryki, w których ton żartobliwej i szalonej wesołości przeplata się ze smutkiem i tragizmem, poematy w których dziś wzrusza nas przede wszystkim protest biedaka i wykolejeńca przeciw krzywdzie społecznej.

A. Gonczarow. Ilustracja do wierszy Francois Villona (Z niedawno otwartej w Moskwie w Domu Artysty wystawy grafiki książki)

Bez strachu

DESZCZ

Jest noc i pada deszcz. Słyszę bębnienie deszczu, pluskanie deszczu, syk deszczu — deszcz jest niewypowiedzianie bogaty w dźwięki. Spadło go w ostatnich latach z nieba tak wiele, dziw że jeszcze nie płyniemy jak na wilgotnej krze. Ilekroć zamykam oczy, widzę siebie z parasolem, lub bez, z postawionym kołnierzem marynarki, przemykam się w deszczu zawsze w jakiejś sprawie, którą uważałem za niezwykle pilną — jedynie ważną, ostateczną niemal i właśnie ustawicznie padający deszcz przeszkadzał mi tę sprawę załatwić — opóźniał moje przybycie do jedynie ważnego miejsca.

Po wielu godzinach deszcz ustawał, a sprawa okazywała się nikła i miejsce do którego dążyłem mało ważne. Deszcz był ekwiwalentem bierności, deszcz przypominał stare rodzinne wspomnienie piastowane jeszcze przez Matkę i Babcię — oto jedno podwórko. Krople deszczu uderzają o powierzchnię pierzyny, która okazuje się nieprzemakalna i jedno z nas suche i ciepłe śmieje się rozkosznie i zasypia nie całkowicie jednak do tego tylko stopnia by plagowym odczuciem odczuwać bębnienie deszczu i przyjemne suche ciepło.

Owo łóżko — archetyp — forpoczta zwycięskiego zacisznego domu, wysunięty ulewie opornego przechodziło niezmiennie przez tego w ulewę i skutecznie marzenia wielu pokoleń.

Było to pragnienie bezpieczeństwa „na wyłot". „My home is my castle" powiadają Anglicy („Mój dom jest moją twierdzą) — otóż nie: mój dom, to moja ofensywa — mój dom powinien być wszędzie, ogarniać przestrzenie innych domów, łączyć się z innymi... Istnieje niezliczona ilość domów, w których wolno mi zdjąć marynarkę i usiadłszy na jednym krześle stopy oprzeć o poręcz drugiego — taka pozycja znakomicie poprawia obieg krwi.

Co do mnie to niemal wszędzie jestem u siebie. Lekarze, u których się leczę, zastają mnie nie w poczekalni lecz w gabinecie śpiącego na lekarskiej kanapce.

Redaktorzy, którzy lekkomyślnie drukują moje teksty, zastają mnie wygodnie usadowionego we własnych fotelach. Kiedyś wracałem w upalny dzień pociągiem, w potwornym tłoku ludzie, których nie śmiem nazwać obcymi, zdjęli mi marynarkę, posadzili na krześle — a atak serca w autobusie — to było jedno z najmilszych przeżyć w moim życiu — zatrzymano autobus i wniesiono mnie do ośrodka zdrowia — leżałem z wysoko podwiniętymi nogami i głową. Nikt z podróżnych nie okazał zniecierpliwienia, wszyscy gotowi byli czekać aż zostanę doprowadzony do stanu zupełnego bezpieczeństwa. Wracałem zupełnie już bezpieczny, nigdy nie widziałem tylu serdecznych spojrzeń, byłem wszędzie w oczach i myślach każdego z podróżnych. To myśli o nocnym deszczu, z którym trzeba się zmierzyć, a co powiedzieć o dziennym deszczu, o deszczu, który pada w blasku słońca i kształtuje bilionami kropelek tęczę — nazywam ten deszcz „deszczem dzieci", ponieważ przywraca on światu wygląd dziecięcy — kiedy pada, dzieci mają rację i można zobaczyć to wszystko w co dzieci wierzą. W ciałach nie ma mikrobów, śmierci nigdy nie było, nie było też wojen, mieni się wezbrana nad głowami tęcza i mocno pachnie wilgotna słoma. Jest noc i pada deszcz, jest dzień i pada deszcz — opowiedzieć o tym nie można — trzeba się tylko w najwyższym napięciu wsłuchiwać...

BERNARD SZTAJNERT

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Pewien człowiek znający życie powiedział: „nie jest u nas problemem zrealizować coś — gorzej gdy się zacznie uzgadnianie jakiejś sprawy. Gorzka prawda. Zrealizowano wieżę przekaźnikową w Zygrach, przeprowadzono w Łodzi pomiary mocy sygnału telewizyjnego. Kiedy jednak przyszło uzgodnić wyniki... „Głos Robotniczy" pisze, że sygnał teraz jest słabszy, „Express Ilustrowany" (tego samego dnia) pisze natomiast, że wyniki pomiarowe są optymistyczne, że sygnał jest mocny. Brak uzgodnienia. Niemniej jednak „Express" radzi się nie denerwować gdy odbiór jest zły, a „Głos" racjonalistycznie radzi zwracać się do ZURiTu. Faktem jest jednak, że kilkaset tysięcy łodzian stwierdziło pogorszenie odbioru na swoich szklanych ekranach. Łódzcy specjaliści od łączności są — jak się zdaje — tym fenomenem nieco zaskoczeni. Może czegoś między sobą nie uzgodnili?

Wtorek

Wielka płaszczyzna ślepej ściany domu przy ul. 22 Lipca. Kratownica rusztowań — spod nich rozkwitają kolorowe plamy. Powstaje wielka reklama — malarstwo ścienne na betonowych sztalugach. Jest już w Łodzi ponad sto takich wielkich obrazów na ślepych ścianach domów — dekorują nasze niezbyt kolorowe miasto, tworzą jakiś miły kolorowy akcent na szarych ścianach łódzkich domów. Jerzy Ibis-Jankowski, który zaprojektował reklamę kosmetyków firmy „Ewa" na ścianie domu przy 22 Lipca ma już za sobą wiele takich obrazów na tynku. Trzeba zresztą przyznać, że plastyka użytkowa w Łodzi znajduje się w rękach plastyków z prawdziwego zdarzenia — malarstwo ścienne — obok swych funkcji reklamowych — spełnia wszystkie wymagania artystycznego poziomu. W porównaniu z innymi miastami jesteśmy w tym względzie w zdecydowanej czołówce.

Środa

Rzym, Florencja, Piza, Wenecja... Można to wszystko zobaczyć i nie umrzeć. Andrzej Wach, który swój dynamiczny fotoreportaż z Włoch wystawia w Klubie Dziennikarza umie fotografować, umie patrzeć i — co dla fotoreportera najważniejsze — umie podpatrywać. Kostyczny emeryt z gazetą „Poda Pacelli" pod pachą, dorożki i mercedesy, koronkowa architektura Rzymu i ślady florenckiej powodzi... Dynamiczne fotogramy zaludnione ruchliwym włoskim tłumem i zabudowane fantastyczną architekturą, wszystko to żyje, porusza się, lśni refleksami słońca na załomach murów, woła reklamami „Tota-Matta"... Ciekawa jest Italia „przywieziona" przez Wacha i dobrze, że u progu sezonu pokazano nam ten bliski przecież, a wciąż egzotyczny kraj. Po wystawach Kudaja i Potęgi jest to już trzecia w sezonie dobra ekspozycja fotograficzna, jakiej nie powstydziłby się żaden specjalistyczny salon wystawowy.

Czwartek

Telewizja ma do spełnienia coraz poważniejsze zadania. Bawi, uczy, informuje... Dziś na przykład wielomilionowa widownia oglądająca maraton kabaretowy z Opola poinformowana została przez Jacka Fedorowicza o... zmianie cen samochodów „Syrena". Fedorowicz jest w tej branży specjalistą — choćby jako autor scenariusza do filmu „Kochajmy Syrenki" — ale zdaje się, że tą informacją nieco ubiegł wszystkie oficjalne „środki przekazu". W każdym razie w „Motozbycie" nic na ten temat nie wiadomo. Oczyma duszy widzę już tę kuszącą wizję, kiedy dyrektorzy wsłuchani w piosenkę Łazuki czy dowcip Fedorowicza wyławiać z nich będą ważkie instrukcje i zarządzenia gospodarcze. Telewizja to potęga...

Piątek

To już drugi „Ibis" w tym Notatniku — Stanisław Gratkowski. Kiedyś stanowili spółkę autorską z Jankowskim — dziś Gratkowski zajął się karykaturą, zdobył Brązową Szpilkę Satyry Politycznej, projektuje okładki i plakaty. Łódzkiego karykaturzystę zna czytelnik „Krokodyla" i „Stryszela", „Eulenspiegla" i „Dikobraza" — przedruki sypią się jak z rękawa. Stanisław Ibis-Gratkowski stanął w rzędzie najpopularniejszych polskich karykaturzystów... Poznańska telewizja przygotowała nawet specjalną audycję poświęconą Gratkowskiemu i jego rysunkom w łódzkiej „Karuzeli". Że co? Że dlaczego Poznań? Mój Boże, nie wymagajmy zbyt wiele. Zbigniew Lengren też najpierw wydał parę książek w NRD zanim polskie wydawnictwa go dostrzegły.

Sobota

Afryka w sercu Łodzi! Rzeźby i maski rytualne, strzały i dzidy — powiew egzotyki z muzealnych gablot. Ameryka przy placu Wolności! Stroje Indian amerykańskich, przedziwne ozdoby, charakterystyczna ceramika i przebarwne tkaniny. Tego jeszcze w Muzeum Etnograficznym nie było i nic dziwnego, że tłumy walą do muzeum jak nie przymierzając na mecz Polska — Brazylia. Etnograficzna egzotyka z innych kontynentów to oczywiście atrakcyjny rodzynek. Ale przecież nowa stała wystawa w Muzeum przy placu Wolności to przede wszystkim podróż przez polskie tysiąclecie — i to jest jej główny, podstawowy walor. A więc Biskupin i łęczycki Tum, denary Mieszka I i żywieckie hafty — przebogate zbiory z przebogatej skarbnicy polskich tradycji i regionów. A kiedy wychodzimy z Muzeum spogląda na nas z cokołu Kościuszko i mówi: „Tusze iż dumni jesteście Waszmościowie z tak chwalebnej historyi narodowej".

Niedziela

Nie pamiętam już kiedy to Operetka przeniosła się do nowego gmachu przy ul. Północnej. W każdym razie było to dość dawno. Od tego czasu co jakiś czas czytam jakie to „cuda niewida" będą w dawnej operetce. Niestety — jak dotąd — bardziej niż „cuda" są to „niewida". Jakoś nic nie widać... Lokal w spadku otrzymała spółdzielczość przed trzema laty i przystąpiono do adaptacji Operetki na Dom Kultury i kino na blisko 500 widzów. Z obowiązku kronikarza notuję, że remont trwa. Od komentarzy wstrzymuję się, bo przecież jako ludzie dorośli z tzw. usługami dla ludności mamy kontakt na co dzień. W Operetce wygląda to mniej więcej tak samo.

JERZY WIDOK

JERZY S. FELIKSIAK

Z GROTTGERA

Po cóż wyszli z kosami na zaśnieżone pola?
Kraj wyszczerbiony jak miecz. Krwią spływa łuska Wisły.
Źle zaczęto karnawał. Nie zginając kolan.
Przecież kosa dla wielu to tylko rekwizyt.

Stąd zapewne zdziwienie, że w czasie karmazynu
zamiast tańczyć w resursach, poszli od kul umierać.
Nie lubimy patosu. Ale za ich wybór,
powinniśmy kurz zetrzeć z obrazów Grottgera.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

PRZYMIERZE Z CZASEM

On rzeką we mnie, a ja w nim brzegami.
Idziemy wiecznie na śmierć i na jedność,
brzegi się schodzą — my się oddalamy.

A kiedy już mój stos ciała zapłonie,
włóknami nerwów piję roztwór nieba
i zimne światło wchodzi w żył otchłanie,
to on wciąż czeka jakby nie dowierzał.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

DWA PRZEKAZY

1

tutaj ogień kształt przybrał i prześwietlił skórę
zwęglił uszy i nozdrza stopił łuskę w czerwień
i płynie przez biblijne powalone miasta
by za ich kontur wpłynąć w świeżą zieleń

on ostatni mieszkaniec opuszczonych murów
wchłonął w siebie ich mądrość i cicho uchodzi
i bezdymnym płomieniem pośród życia pełznąc
wciąż znakiem zapytania płonie mu na drodze

2

ciężką pracą rąk moich oplotłeś rękojeść
i wiecznie czujny nóż oplatasz sobą cichy
jesteś ozdobą z głową zatopioną w klindze
i poznając jej życie uzupełniasz mądrość

Z grafiki skandynawskiej

MIROSŁAW KUŹNIAK

* * *

Dorocie

więc twarz masz szytą cienkim ściegiem
a w bliznach po nim skrzypi śnieg
śpią czarne ptaki twoich bioder
kolana porósł miękki mech

wołały mnie tu czarne ptaki
spokój obiecał miękki mech

lecz odkąd jestem w twoich stronach
głos mój jak płomień świecy drży
czemu mi ptaki rosną w biodrach
czemu na śniegu skrzypią łzy

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Z DESZCZU

Oto pachniesz mi nagła
deszczem i wieczorem
z traw porosłych ciemnością
jeszcze zamysł ciebie
a już gest twój jeden
przedłuża ramiona
kropla rysuje twe biodro
linię dla moich ust

FELIKS RAJCZAK

LEŚNI

Szczekanie psa przez śniegiem zawiane pustkowia
Gdy księżyc się odnawia jak rana po nożu
Wyostrzonym na mrozie — w przytulonych uszach
Niosą: w nich bębny walki grzmią o ciszę lasu — —
Wchodzą w swoje królestwo z maczugą, podnoszą
Cień rozrzedzony w drewnie, ogrzewają palce
Przymarznięte do broni — — Wyszli z płonącego
Domu z opalonymi rzęsami i kroplą
Smoły na czołach: Noc ich wzięła w posiadanie
Bo im umarło na pniu imię w które wierzą:
Rano wzbije się światłem w niebo purpurowe

WŁADYSŁAW HUZIK

ROMANS

One codziennie mają zupełnie inne troski
zmieniają wszystkie suknie kiedy są w żałobie
wieczorem suknie kobiet skrzą się diamentowo
a rano one długo szczotkują swe włosy

Mężczyźni palą fajki i zawsze są trzeźwi
nieszczęśliwą miłość topią w oceanie
na balu lekko tańczą walca angielskiego
ten drobiazg to brylanty zechce pani przyjąć

Dziewczyna książkę składa i nakręca budzik
nastawia go uważnie na pięć po wpół do czwartej
miasto jeszcze drzemie gdy umyka z balu
żegnaj piękny książe już trzecia syrena

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

PRODROM

Panu Julianowi Rogozińskiemu

Wysokie wzgórza ptaków pustoszeją na niebie
Ciemność wydłuża się jak nieruchomy krok
szybkobiegacza, który w kamieniu zastygł
W moim ciele poruszają się postaci
wszystkich moich przodków.
Obłąkany powraca z więzienia
zakuty jak w zbroję w tysiącletni mur
wiewiórka skacze z powietrza w powietrze
Czy serce jest wagą?
Trzeba w to uwierzyć aby dotknąć
Ledwo objawiona żarłocznej ciekawości noża
krew moja
przetacza się z cierpienia w zbrodnię

STANISŁAW KASZYŃSKI

Legendy rzeczy ludzie

Ostatnia książka **TADEUSZA GICGIERA** („Zaczęło się od legendy". Wyd. Łódzkie 1968, s. 179, zł 11) stanowi rezultat kilkuletnich podróży dalszych i bliskich w krainę rozciągającą się wprawdzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, z Łodzią administracyjnie zespoloną, lecz przecież, jak się okazuje, omalże nieznaną. Jest to poniekąd oczywiste: to, co leży w zasięgu oczu, mówiąc dokładniej — w odległości kilkugodzinnej jazdy autobusem, wydaje nam się terenem „opanowanym" toteż nie trudzimy się już o zdobywanie. A w wypadku Ziemi Łódzkiej, bo o niej książka traktuje, działa poza tym jakiś odruch lekceważenia: cóż tam, do licha, może być ciekawego? Nawet sprawdzać nie warto! Uleganie wszelakim bałamuctwom bywa szkodliwe, jednakże nie dość jesteśmy na nie uodpornieni. bałamucimy się sami, przyswajając utarte zdania lub obiegowe opinie za rozstrzygające, za miarodajne. Gicgier — odkrywca? Jeśli archeologa czy geologa uznamy za odkrywcę, to Gicgier nim jest. W każdym razie odczynił po trosze złe uroki niepamięci, unoszące się nad tym rejonem, przybliżył ląd zapoznany, spoetyzował nadto rozmaite zakątki.

Jak przystało na wędrowca i obserwatora, poszukuje przede wszystkim legend i opowieści, związanych z odwiedzanymi miejscami, tropi jakby archetypy istnienia, pragnąc w ten sposób wzbogacić i ustarościecczyć — wydłużyć — czas metrykalny zdarzeń i ludzi. Nie poprzestaje na tym, gdyż legenda wprowadza go dopiero we właściwe spirale historii, w dzieje splątane i zagęszczone, nasiąkłe niekiedy krwią, a najczęściej ostygłe w rumowiskach i popiołach. **„Ktoś powiedział, że stare mury — to kamienne karty naszej historii. Żyjemy jednak w czasach dużego pośpiechu — i jeszcze większego zaabsorbowania dniem dzisiejszym. Coraz mniej jest ludzi umiejących czytać z kamiennych kart"** (s. 122). Oto drogowskaz, prowadzący do dokumentów, kronik, czasem i do wspomnień. Niegdyś spisanych bądź na żywo notowanych z ust świadków dawności, z reguły jej miłośników i stróżów. Korzystanie z tak różnorodnych źródeł przybliża przeszłość, teraźniejszość zaś Gicgier już podpatruje z kilku ledwie metrów, składając wizyty osobom prywatnym i urzędowym, wciąga swych bohaterów do rozmów i zwierzeń. Na tematy dawne i jak najbardziej współczesne. Odeszłe egzystuje **na tych kartach na tych samych prawach co aktualne, lecz** autor nie troszczy się o ustalanie powinowactw między przodkami i potomkami. Nikt tu, jak mi się wydaje, nikogo nie dystansuje, i nie przeczuwając niekiedy siebie, współżyją raczej w przyjaźni. Czy tak nawarstwia się historia? Ja w tym rozlropnym „odmierzaniu sprawiedliwości" dostrzegam dyskrecję i umiar autora owych reportaży, czy raczej diariusza „niespiesznego przechodnia" gdzie portret przeplata się z informacją, dialog z opisem, opowiadanie z gawędą. Tak tedy piękno sulejowskiego opactwa jaśnieje jeszcze większym blaskiem, skoro w podłódzkiej wsi mieszka i pracuje małżeństwo nauczycieli - społeczników, niemal żywcem transplantowane z kart Żeromskiego (Duet małżeński). Jest to jednak przykład odosobniony. Atmosfera naszych miasteczek i wsi, pomimo pewnego ożywienia młodych, daleka jest jeszcze od atrakcyjności nie sprzyja stabilizacji i wrastaniu w otoczenie. Gicgier pokazuje, choć z trudem, że wbrew sprzyjżeniu wszystkich demonów prowincji na czele z nudą, i tutaj działają nietuzinkowi ludzie (Młodzi z miasta-satelity).

Nie było z pewnością celem autora odsłonięcie najważniejszych zjawisk i spraw, najciekawszych postaci. Wybór został przesądzony indywidualnymi zainteresowaniami i sentymentami pisarza, selekcja jest swobodna, nie ma jakichś obmyślonych z góry ram, i w tej wolności wyławiania „tematów" zawiera się niebagatelny walor książki. Sądzę, że Gicgier, mieszkaniec (od kilku miesięcy) Białegostoku, będzie kontynuował swe podróże i obdarzy nas znów kiedyś nowym zbiorem.

Gdybym spróbował oznaczyć szczególnie ulubiony cykl tematyczny Gicgiera, orzekłbym, iż są nim rekonstrukcje losów ludzkich, niegdyś scementowych przez chwile czy na trwałe z tą ziemią. Taka wzruszająca i bolesna rewindykacja jest pierwsza w tomie relacja o uczestnikach Wrześniowej walki z Niemcami na przygranicznym pasie (Pierwsza bitwa). Pierwszym segmentem konstrukcji jest tablica z nazwiskami poległych, jednego z żołnierzy zaliczono pomyłkowo w szereg zabitych, i rozmowa z tym żołnierzem, który nie miał nawet czasu, aby „odmeldować" u władz swoje ocalenie, stanowi niespodziewaną pointę. Że w swych peregrynacjach musiał natrafić na ślady zamieszkałych tu, czy bywałych pisarzy, i że z pietyzmem ślady te odkurzył, silniej obrysował, jakże to zrozumiałe! W Inowłodzu odnalazł liczne przekazy o trwałych związkach Juliana Tuwima z tą osadą, zaczęte jeszcze w czas młodzieńczych wywczasów poety (Śladami poety), w Bronowie natomiast — „spotkał" Marię Konopnicką (Młoda pani z Bronowa), zręcznie zespalając reminiscencje tych pobytów, przeszłe nawet do literatury, ze wspomnieniami świadków. Mnie najbardziej ujęła zbeletryzowana biografia Ignacji Piątkowskiej, nauczycielki, społeczniczki, pisarki i — wspaniałego człowieka (Gdy nic ziemskiego po mnie nie zostanie). Chciałoby się powiedzieć, że jej życie potwierdza wprost autentyczność „Siłaczki", każe też wierzyć, iż modele osobowe, kreowane przez pozytywistyczne piśmiennictwo, znajdowały naśladownictwa na naszej prowincji. Piątkowska nie wyczerpuje galerii Polek-obywatelek z tego rejonu.

Nie wiem, jak to zrobić, lecz każdy udający się w podróż po Ziemi Łódzkiej winien zaopatrzyć się w tę książkę.

LEO SZILARD

Grand Central Terminal

Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo byliśmy wstrząśnięci, kiedy po wylądowaniu w tym oto mieście przekonaliśmy się, że jest całkowicie opustoszałe. Od dziesięciu już lat znajdowaliśmy się w podróży międzyplanetarnej i byliśmy już coraz bardziej zniecierpliwieni i poirytowani przymusową bezczynnością; wreszcie lądujemy na Ziemi i okazuje się — o czym już zapewne słyszeliście — że jest to planeta wymarła.

W pierwszym rzędzie należało oczywiście ustalić, jak do tego doszło, oraz zbadać, czy to, co uśmierciło żywe organizmy, ciągle jeszcze działa i czy nie zagraża naszemu własnemu życiu. Co prawda, niewiele mogliśmy zdziałać dla własnej obrony, trzeba jednak było zdecydować, czy zalecić przysłanie tu dalszych ekspedycji, czy też wypowiedzieć się przeciw nim.

Z początku sądziliśmy, że stoimy przed nierozwiązalną zagadką. Wydawało się rzeczą niemożliwą, aby jakikolwiek wirus lub jakiekolwiek bakterie mogły spowodować wyniszczenie wszystkich roślin i wszystkich zwierząt. Lecz przed upływem tygodnia jeden z naszych fizyków — zupełnie przypadkowo — wykrył nieznaczny ślad radioaktywności w powietrzu. Tak słaba radioaktywność nie mogła sama w sobie mieć większego znaczenia, lecz po bliższym jej zbadaniu okazało się, że powoduja ją różnego rodzaju radioaktywne elementy o szczególnym składzie.

Wówczas to Xram przypomniał sobie, że mniej więcej przed pięciu laty zaobserwowano na Ziemi jakieś tajemnicze błyski (wszystkie w ciągu jednego tygodnia). Pomyślał, że owe błyski mogły być wywołane wybuchami uranu oraz że obecnie istniejąca radioaktywność powstała zapewne w następstwie owych wybuchów sprzed pięciu lat, kiedy jej moc musiała być dostatecznie wysoka, aby wyniszczyć wszystko, co żyło na tej planecie.

Brzmiało to dość nieprawdopodobnie, jako że uran sam z siebie nie wybucha i musi być poddany bardzo skomplikowanemu procesowi, zanim uzyska się stan, w którym może być doprowadzony do wybuchu. Ponieważ zaś Ziemianie, którzy pobudowali wszystkie te miasta, musieli być istotami kierującymi się rozumem, wydaje się rzeczą niewiarygodną, aby zadali sobie olbrzymi trud poddawania uranu skomplikowanym zabiegom jedynie w celu zniszczenia samych siebie.

Jednakowoż dalsze badania istotnie wykazały, że radioaktywne elementy wykryte w tutejszym powietrzu są dokładnie takie same jak radioaktywne elementy powstające przy wybuchu uranu i że ich skład jest właśnie taki, jaki powinien być, gdyby powstały przed pięciu laty na skutek wybuchu uranu. Ponieważ trudno to uważać za przypadkowy zbieg okoliczności, więc teoria Xrama zyskała powszechne uznanie.

Lecz kiedy idzie on o krok dalej i usiłuje wyjaśnić, dlaczego oraz w jaki sposób wspomniane wybuchy uranu nastąpiły, nie potrafię się z nim zgodzić. Xram sądzi, że musiała być wojna między mieszkańcami dwu kontynentów, w której obie walczące strony odniosły zwycięstwo.

Istotnie, materiały posiadane przez nas wykazują, że pierwsze dwadzieścia błysków pojawiło się na kontynencie euroazjatyckim, po nich zaś nastąpiło pięć dalszych (znacznie silniejszych) błysków na kontynencie amerykańskim, co początkowo skłaniało mnie do poważnego zastanowienia się nad teorią wojny jako dostatecznie przekonującą.

Być może — pomyślałem sobie — oba te kontynenty były zamieszkane przez dwa różne rodzaje Ziemian, którzy albo nie umieli, albo też nie chcieli stosować regulacji urodzin, co mogło doprowadzić do przeludnienia, niedostatecznych zapasów żywności, oraz walki na śmierć i życie pomiędzy obu rodzajami Ziemian. Teoria ta nie wytrzymała jednak krytyki z następujących powodów: (1) szkielety Ziemian znalezione na kontynencie euroazjatyckim i na kontynencie amerykańskim należą do tego samego gatunku; (2) dane statystyczne dotyczące szkieletów wykazują, że żaden z wymienionych kontynentów nie cierpiał na przeludnienie.

Mimo tego Xram upiera się przy swojej teorii wojny. Najgorsze zaś jest to, że całą swoją argumentację bazuje na pojedynczej, nie bardzo zrozumiałej i prawdopodobnie całkiem nieistotnej okoliczności, odkrytej niedawno podczas naszych studiów na Grand Central Terminal.

Zaraz po wylądowaniu byliśmy w kłopocie od czego zacząć badania, wybraliśmy więc jeden z największych budynków miasta, jako pierwszy obiekt naszych studiów. Nie wiemy, co znaczyła jego nazwa Grand Central Terminal, lecz zasadnicze przeznaczenie tego gmachu w przeszłości nie nasuwa prawie żadnych wątpliwości. Był on częścia składową prymitywnego systemu transportowego, opartego na niezręcznych lokomotywach posuwających się po szynach i ciągnących za sobą wozy osadzone na kołach.

Już od przeszło dziesięciu dni zajęci jesteśmy badaniem tego gmachu i odkryliśmy pokaźną liczbę ciekawych i nieodgadnionych szczegółów.

Zacznę od opisu pewnego zjawiska, które, jak sądzę, rozszyfrowaliśmy w sposób zadowalający, przynajmniej jeśli idzie o mnie. Wozy zajeżdżające na tę stację miały — jak wykryliśmy — napisy, w których powtarzały się słowa „palenie" lub „niepalenie", co bez wątpienia musiało oznaczać jakiś rodzaj segregacji pasażerów. Pomyślałem sobie od razu, że miasto to mogło być zamieszkane przez dwie różne odmiany Ziemian — jedna z silnie zaznaczoną pigmentacją, posiadająca ciemną, czyli „opaloną" skórę, oraz druga ze słabą pigmentacją (choć niekoniecznie z gatunku albinosów) obdarzona jasną, czyli „nie opaloną" skórą.

Wszelkie szczątki Ziemian, które dotarły do nas, są w postaci szkieletów, i nie da się z nich wyciągnąć żadnych wskaźników odnośnie pigmentacji. Wydawało się więc na początku, że trudno będzie uzyskać potwierdzenie tej teorii. Ale oto odkryto w mieście kilka budynków o nieznanym nam i raczej tajemniczym przeznaczeniu w przeszłości, w których natrafiono na malowane płótna oprawne w ramy i zawieszone na ścianach, przedstawiające ziemskie pejzaże i wizerunki Ziemian. Mogliśmy się naocznie przekonać, że Ziemianie istotnie dadzą się podzielić na dwie kategorie: tych, których skóra wykazuje silną pigmentację (nadając im wygląd opalony), i tych, których skóra wykazuje jedynie słabą pigmentację (odmiana nie opalonych). Potwierdza to w zupełności moje rozumowanie.

Dla ścisłości powinienem tu zaznaczyć, że pewien procent wizerunków świadczy o istnieniu trzeciej odmiany Ziemian. Odmiana ta oprócz pary rąk i nóg posiada też parę skrzydeł i wydaje się, że wszyscy przedstawiciele tego gatunku posiadali słabszą pigmentację. Żaden z wielu zbadanych dotychczas szkieletów nie wykazuje cech skrzydlatej odmiany, z czego wyciągnąłem wniosek, że mamy do czynienia z wygasłym rodzajem. Obecnie nie da się już podważyć słuszności tego poglądu, gdyż ustaliliśmy, że skrzydlate postacie występują o wiele częściej na starych niż na późniejszych malowidłach.

Nie jestem w stanie, oczywiście, opisać wam wszystkich zaskakujących odkryć poczynionych przez nas w murach Grand Central Terminal, muszę wam jednak opowiedzieć przynajmniej o jednym, i to najbardziej zastanawiającym i niejasnym, zwłaszcza że Xram bazuje na nim swoją teorię wojny.

Otóż wpadliśmy na to podczas badania jakiegoś mało ważnego szczegółu. W rozległych pomieszczeniach Grand Central Terminal natrafiliśmy na dwie salki położone w dobrze ukrytym zakątku. Każda z tych salek (z napisem „panowie" lub „panie") zawiera szereg małych przybytków, które służyły Ziemianom jako przejściowe schronienie podczas składania przez nich stolca. Nasuwa się pytanie: w jaki sposób Ziemianie odnajdywali owe skrzętnie ukryte składnice stolca w labiryncie Grand Central Terminal?

Ziemianin wędrujący po tym rozległym gmachu, musiałby stracić mniej więcej około godziny, zanim natknąłby się przypadkiem na któryś z tych przybytków. Możliwe jednak, że Ziemianie wykrywali owe składnice kierując się węchem, ustaliliśmy zaś, że jeśli ich zmysł węchu był od trzydziestu do czterdziestu razy ostrzejszy od przeciętnego zmysłu węchu naszego własnego gatunku, to średni czas, wymagany do wywąchania takiego przybytku dałby się zredukować z godziny do pięciu lub dziesięciu minut. A więc rozszyfrowanie tej sprawy nie przedstawia żadnego istotnego problemu.

Znacznie większa trudność powstaje jednak przy próbach rozwiązania innej zagadki. Stwierdziliśmy bowiem, że drzwi każdego poszczególnego przybytku tego typu, zamykane były przy pomocy bardzo wymyślnego urządzenia. Po dokładnym zbadaniu owych urządzeń stwierdziliśmy, że zawierają pokaźną ilość metalowych krążków. Wiemy już, że te pomysłowe urządzenia broniły dostępu do przybytku, dopóki nie wrzuciło się przez odpowiedni otwór dodatkowego krążka, i że dopiero z chwilą wrzucenia krążka, zamek u drzwi puszczał, pozwalając dostać się do środka.

Na „krążkach" widnieją najrozmaitsze wizerunki, a także różne napisy, wszystkie jednakowoż posiadają jedną cechę wspólną — mianowicie słowo „Wolność". Co mogły oznaczać te urządzenia, zawarte w nich krążki, oraz słowo „Wolność" wypisane na krążkach?

Na ten temat powstało, oczywiście, szereg hipotez, lecz wszyscy skłaniają się ku poglądowi, że mamy tu do czynienia z uroczystym obrzędem towarzyszącym aktowi składania stolca, obrzędem podobnym, być może, do niektórych szczególnych rytuałów, o których donoszą nam z planet Sigma 25 oraz Sigma 43. W myśl tego poglądu słowo „Wolność" oznaczało zapewne jakąś cnotę, cieszącą się wysokim poważaniem u Ziemian, czy też u ich przodków. W ten sposób dochodzimy do całkiem zadowalającego wyjaśnienia obrzędu składania ofiar w postaci krążków tuż przed aktem składania stolca.

Dlaczego jednak istniała konieczność zabezpieczania się (lub jak twierdzi Xram, zmuszania) przy pomocy specjalnego urządzenia, że podobny krążek istotnie zostanie złożony w ofierze w każdym poszczególnym wypadku? Ten punkt również da się wyjaśnić, jeśli założymy, że Ziemianie zbliżający się do owych przybytków, byli, być może, pod presją gwałtownej potrzeby, wobec tego z braku owych urządzeń mogliby czasem zapomnieć złożyć krążek w ofierze, a potem dręczyłyby ich tylko wyrzuty sumienia. Wyrzuty sumienia spowodowane zaniedbaniem obowiązujących obrzędów nie są nieznane wśród mieszkańców planet Sigma 25 oraz Sigma 43.

Ogólnie biorąc uważam to wyjaśnienie za najlepsze, na jakie nas obecnie stać, jest też zupełnie możliwe, że dalsze badania potwierdzą te założenia. Xram, jak już wspomniałem, ma swoją własną teorię, która, jego zdaniem, może wyjaśnić wszystko — zarówno obecność krążków w urządzeniach, jak i wybuchy uranu, które uczyniły tę planetę wymarłą.

Uważa on, że krążki dawano Ziemianom w nagrodę za zasługi. Twierdzi, jakoby Ziemianie nie byli istotami kierującymi się rozumem, i że bez specjalnej zachęty, nie dałoby się ich nakłonić do wzięcia udziału we wspólnych przedsięwzięciach.

Twierdzi też, że uniemożliwienie Ziemianom dostępu do przybytków, w których mogliby złożyć stolec, o ile za każdym razem nie złożą krążka w ofierze, budziło w nich pragnienie zdobycia tych krążków, a owo pragnienie z kolei skłaniało ich do podejmowania wspólnych wysiłków, koniecznych dla funkcjonowania ich społeczeństwa.

Sądzi on też, że krążki znalezione w składnicach stolca, demonstrują tylko jedną stronę o wiele szerszej zasady, i że Ziemianie składali zapewne podobne krążki w ofierze nie tylko, aby uzyskać dostęp do składnicy stolca, lecz również aby uzyskać pożywienie itp.

Xram wpadł do mnie przed paru dniami, aby podyskutować na ten temat, nie jestem jednak pewien, czy wszystko zrozumiałem, mówił bowiem okropnie szybko, jak zawsze, kiedy się zapali do którejś ze swych teorii. Na tyle go jednak zrozumiałem, aby widzieć, że płótł od rzeczy.

Przeprowadził podobno bardzo skomplikowane obliczenia, z których wynika, że system produkcji i dystrybucji towarów oparty na wymianie krążków, nie może uzyskać cech stabilizacji, lecz jest z konieczności skazany na wielkie wahania, podobne w pewnym sensie do cyklicznych napadów depresji spotykanych u obłąkanych. Nie waha się nawet twierdzić, że w okresach podobnej depresji wojna staje się psychologicznie możliwa nawet w obrębie tego samego gatunku.

Nikt bardziej ode mnie nie ceni wielkiej inteligencji Xrama. Co prawda jego teorie nieodmiennie okazywały się błędne, lecz wszystkie zawierały do tej pory jakieś ziarnko prawdy. Owo ziarnko musi jednak być nieskończenie małe w jego obecnej teorii, co więcej, potrafię udowodnić, że całkowicie się w danym wypadku myli.

W ciągu ostatnich kilku dni przeprowadziliśmy oględziny dziesięciu różnych domów w mieście, wybranych na chybił trafił. Znaleźliśmy w nich szereg składnic stolca, lecz ani jednej zaopatrzonej w urządzenie zawierające krążki — w żadnym z domów zbadanych do tej pory, również ich nie było. W obliczu takich faktów teoria Xrama upada.

Wydaje się całkiem pewne, że krążki znalezione w składnicach stolca w Grand Central Terminal, zostały tam złożone podczas uroczystego obrzędu. Podobno obrzędy te obowiązywały podczas składania stolca w miejscach publicznych i tylko w miejscach publicznych.

Cieszy mnie niezmiernie, że wyjaśniliśmy ten punkt na czas, gdyż byłoby mi przykro, gdyby Xram zbłaźnił się, włączając swoją teorię do niniejszego sprawozdania. Zdolny z niego chłopak i pomimo jego bezsensownych pomysłów, które ma zawsze w zanadrzu, właściwie bardzo go lubię.

Przełożyła:
CECYLIA WOJEWODA

Lewym okiem

SZPAKOWACI PANOWIE I BUJNE BRUNETKI

Utarło się już od dawna przekonanie, że latem nie można, niezdrowo, nie wypada zajmować się poważnymi sprawami. Kina przestawiają się na Fantomasy i wznawiają po raz któryś tam jakże nieliczne ostatnio komedie, teatry się zamyka, w muzeach remont, w telewizji festiwale piosenek, w radio piosenki a piosenki, w prasie michałki i opowieści o kundlach nie z tej ziemi, w ministerstwach najwyżej jedna konferencja na tydzień.

Nasz kraj, jak wiadomo, leży dość daleko od równika i lato nie jest wcale okresem takich upałów, które by rzutowały na pracę szarych komórek mózgowych. Gdzieś na Sycylii czy w Hiszpanii zima wygląda prawie tak, jak nasze lato, a intelektualiści nie oczekują tam taryfy ulgowej i co nieco do historii kultury dorzucili. Mamy więc do czynienia nie tyle z „obiektywnym uwarunkowaniem sytuacji", ile z jeszcze jednym rodzimym obyczajem; zawsze tak było i już.

A może właśnie dlatego, że prawdziwych, solidnych upałów mamy tak mało — poddajemy się im tak całkowicie, trochę niejako na wyrost, trochę z autosugestią? — Przecież upał! — mówimy, nie bardzo w to wierząc, i zrzucamy z siebie wszystko naraz: ubranie, chęć do pracy, tak zwane zasady i tak zwane poczucie (np. obowiązku, lojalności, własnej ważności itp.). Zrzucamy, padamy plackiem na piasek, zanurzamy się w zimnym Bałtyku i z gęsią skórką latamy za kolorową piłką i za kolorowymi dziewczynami.

„Dziewczyny" to oczywiście panie w okolicach trzydziestu-czterdziestu pięciu wiosen. Dziewczynami stają się na mocy tej samej błogosławionej autosugestii, tej samej magii słów takich, jak: upał, słońce, wczasy. Właśni mężowie zostali daleko, dzieci na koloniach i obozach; teraz mężowie innych pań, które zostały daleko, silą się na dowcip, żeby zabawić, żeby wywołać uśmiech, żeby się podobać — pani nagle czuje się znów przedmiotem zabiegów, hołdów, zalotów, cóż za szalona przyjemność! Wkłada najpiękniejsze bluzki, wyciąga z głębokich szuflad miny i gesty i spojrzenia, które zdawały się już przenoszone, nieaktualne — a oto znów daje się wierzyć, że skutkują! Nie jest tak źle, jeszcze nie wieczór, jeszcze gra nie skończona...

Panowie — odpowiednio, to znaczy o dziesięć lat — starsi jeszcze raz odgrywają cały swój żelazny repertuar, a to dowcipu, a to bohaterskiej młodości, a to uroczej niefrasobliwości i wdzięku. Jeszcze raz znajdują wdzięczne słuchaczki i sami z wdzięczności stają się najuczciwiej sentymentalni. W rezultacie po deptaku polanickim, krynickim, ciechocińskim nikt nie przechadza się sam, z wyjątkiem zupełnych mizantropów i ponuraków. Szpakowaty pan z nazbyt ciemną, bynajmniej nie szczupłą brunetką trzymają się za rączkę jak sztubacy, co w normalnym mieście wyglądałoby dość pocieszne. Takie same pary po zmroku szukają co bardziej zacienionych ławek pod kasztanami parkowymi, szepczą tam, przymierzają swój aktualny nastrój do odżywających wspomnień podobnych ławek, podobnych momentów, chcą coś odgrzebać, coś powtórzyć, powtórzyć...

Trochę to śmieszne, trochę wzruszające, w sumie bardzo ludzkie i — honny soit qui mal y pense — niech się zawstydzi ten, kto coś złego pomyśli. Wolę takich wczasowiczów od tych, którzy ani na chwilę nie odsztywnią swej nadętej powagi, patrzą na wszystkich z pobłażliwym uśmieszkiem jak na groteskową menażerię, rżną od rana do wieczora w brydża, albo gapią się cielęco w telewizor. Wolę tamtych, flirtujących pod kasztanem — boć przecież nie ma rozmowy mężczyzny z kobietą, która by nie zawierała w sobie choć odrobiny flirtu — pod jednym wszakże warunkiem: że w sprawę nie wda się wóda. Wtedy szpetnieje od razu wszystko i nabiera cech zwyczajnego, wulgarnego ubawu, jeśli nie gorzej. Wtedy są nieapetyczne chichoty starszych pań, potworne śpiewy, porykiwania i lansady starszych panów, wtedy wszystko jedno kto, gdzie, kiedy z kim i po co.

Niestety, nie utarło się w obyczaju rodzimym przekonanie, że lato nie sprzyja piciu wódy. Są krzyki i śpiewania i chichoty w parku krynickim, na deptakach Kudowy, Duszników, Szczawnicy, Sopotu. Mieliśmy jednak nie mówić o smutnych, poważnych sprawach. Przecież upał!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Freidlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca. Prenumerate przyjmuja wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17. Zam. 1889. VII. 1968. P-11.